Nr. 22. 30 h. = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 30 października 1909.

Wychodzi w każdą sobotę.

Z treści: **Tajemnica hrabiny Castellone.**



Skryci za krzakami patrzyli obaj detektywi na rozmawiających pod figurą.

Przedruk wzbroniony.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.

Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 22. Kraków, dnia 30 października 1909. Nr. 22.

ZE ŚWIATA.

Maurytańscy bohaterowie.

Walka Kabylów w Hiszpanii, dostarczyła epizodów, świadczących o niebywałej dzikości tamtejszych plemion.

„Bohaterowie“ maurytańscy mnożą się jak grzyby po deszczu. Poczestne miejsce zajmuje wśród nich t. zw. „maurytańska Joanna D'Arc“, która wszędzie wśród wiru walki się zjawia i słowem i przykładem zachęca wojowników do czynów szalonej odwagi. Hiszpanie nazywają ją „panterą“.

Niedawno temu postanowili Maurowie zniszczyć olbrzymi reflektor pewnego hiszpańskiego parowca, który przeszkadzał im w ich operacyach wojennych.

Trzech wojowników wybrano do wykonania planu. Zupełnie nago, mając karabiny na głowach umocowane, popłynęli oni do okrętu i po łańcuchu od kotwicy wyspinali się na pokład okrętu. Reflektor był właśnie czynny.

Celne strzały ich karabinów zniszczyły go doszczętnie.

Nastąpiła zupełna ciemność, a dzielni hiszpanie nadbiegłszy, mogli już tylko widzieć, jak trzej wojownicy rzucili się w morze i dopłynęli szczęśliwie do swoich.

Wiarołomstwo w kinematografie.

W kinematograficznym teatrzyku w Paryżu, przy ul. Rue de la Gaite, przedstawiano publiczności żywe fotografie ze wzlotu awiatycznego w Reims.

Nagle jedna z dam krzyknęła przeraźliwie i zemdlała, podczas, gdy jej towarzysz, zamiast ją ratować, obsypywał stekiem obelg i wyzwisk.

Zdumionym tem wszystkim widzom, objaśnił ów pan całe zajście w ten sposób:

Poznał w obrazie kinematografu niewierną swoją żonę w towarzystwie przyjaciela i ku wielkiemu gaudium publiczności wtajemniczył ją w podstęp swej małżonki, która symulując kilkudniową podróż do matki na prowincyi, pojechała sobie do Reims i tam zabawiała się wesoło.

Cała afera miała jeszcze epilog, który nie pozbawiony jest humorystycznej strony.

Gdy dama przyszła do siebie z omdlenia i z mężem swym powróciła do domu — powstała między małżonkami straszna kłótnia, która się tem skończyła, że oszukany małżonek wystrzelił z rewolweru do kobiety. Ta upadła na ziemię pozornie bez życia.

Mąż, uważający się za zabójcę pospieszył natychmiast do policyi i sam oddał się w ręce sprawiedliwości.

Gdy jednak policya udała się do domu ich, zastała kobietę zdrową i całą. Przy wystrzale, podobnie jak przy scenie w kinematografem, popadła tylko w omdlenie.

Komisarz policyi odebrał od wzburzonego małżonka rewolwer wraz z przyrzeczeniem, że żonie swej nie uczyni żadnej krzywdy.

Zdaje się jednak, że czuła para nie odwiedzi już tak prędko żadnego teatrzyku kinematograficznego.

Banknoty w spódniczce.

Kryminalnej policyi paryskiej udał się tymi dniami wybitny połów w osobie szykownej i pięknej kobietki.

Lata tego, zostało bardzo wielu kuracyuszów okradzionych w słynnych, a licznie nawiedzanych miejscach kąpielowych, zarówno na spacerach jak i w restauracyach.

Wreszcie podejrzenia zwróciły się przeciw pewnej 30-letniej damie, która elegancyą i urodą swoją zwracała powszechną uwagę na siebie. Gdy chciano ją przyaresztować, interesująca ta osóbka zniknęła gdzieś bez śladu, tak, że musiano się tylko ograniczyć na podaniu rysopisu jej policyi.

Dopiero teraz, przed kilku dniami, przyłapał pewien komisarz policyi złodziejkę na gorącym uczynku.

Zrewidowano ją i znaleziono w jej spódniczce niezliczoną ilość sprytnie obmyślonych kieszeń, w których mieściły się klejnoty i biżuterye, mające wartość 65.000 franków.

Na chlubę i pociechę niemieckiemu narodowi można nadmienić, że pomysłowa złodziejka jest mieszkanką „Aten nad Spreą“.

Należy ona prawdopodobnie do wielkiej międzynarodowej złodziejskiej szajki.

Pojedynek między małżonkami.

W Chicago rozegrał się straszliwy dramat między małżeństwem, pochodzącem z Kalabryi.

Kalabryjczyk Antonio Spizzerni, osiedlił się przed niedawnym czasem wraz z swą 24-letnią żoną w Chicago.

Małżeństwo, pobłogosławione dwoma dziećmi, należało do najszczęśliwszych, dopóki żona nie poznała pewnego młodzieńca z tych samych stron, co i ona.

Zaniedbywała teraz męża i dzieci, wskutek czego dom ich był widownią ustawicznych gorszących scen i skandalów.

Ponieważ w tych warunkach życie ich zmieniło się w prawdziwe piekło — postanowili zgodnie rozstrzygnąć spór pojedynkiem. — Oboje zamknęli się w ciemnym pokoju, meblami zabarykadowali drzwi — i rozpoczęli strzelać do siebie z rewolwerów.

Wskutek strzałów i krzyku dzieci zbiegli się sąsiedzi i wezwana policya.

Gdy wreszcie udało się drzwi wywalić, oczom wszystkich ukazał się straszny widok:

Na podłodze leżał w kałuży krwi mąż, obok niego rewolwer i sztylet. Z sześciu jego kul trafiły tylko dwie.

Na kanapie leżał trup żony. Była zraniona w czoło i w ramię, a śmierć ostateczną sprowadziło pchnięcie sztyletu w serce.

Mąż miał jeszcze na tyle siły, że opowiedział przebieg całego zajścia.

Oboje zgodzili się na pojedynek na śmierć i życie i zabarykadowali się w pokoju, by im nikt nie przeszkadzał w krwawej rozprawie.

Kobiecie przysługiwał strzał pierwszy, pierwsza też kula jej trafiła w pierś męża. Teraz i on zaczął strzelać. Gdy jednak po pierwszym strzale rewolwer jego odmówił posłuszeństwa, rzucił się na kobietę i zasztyletował ją.

Równocześnie wypaliła i żona i trafiła męża w głowę, poczem oboje upadli na ziemię.

Kobieta zginęła na miejscu. Jej męża przewieziono w stanie beznadziejnym do szpitala.

ALLOTRIA.

Naiwny pasażer.

Konduktor (do podróżnego). Nie siadaj pan w ostatnim wagonie! Podczas karambolu ostatni wóz jest zawsze w największem niebezpieczeństwie!

Pasażer. To dlaczegóż nie każesz go pan po prostu odczepić?!

Miłe wspomnienie.

On. Czy pamiętasz jeszcze ten czarowny wieczór?

Ona. Ach! bardzo dobrze! Nie byłam w stanie przez całą godzinę jednego słówka powiedzieć!

On. Była to najpiękniejsza godzina w mem życiu!...

Dobra woda.

Turysta (do rybaka). Tu zdaje się jest wyborna woda dla ryb?

Rybak. Tak! wspaniała, bo żadna ryba nawet nie chce się dać z niej wyciągnąć.

Podejrzenie.

Nowo przyjęty kasyer: Szanowny pan wie zapewne, że jestem kompozytorem?

Pryncypał: Ale zresztą przecież pan jesteś uczciwy?

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

TAJEMNICA HRABINY CASTELLONE.

ROZDZIAŁ I.

Szczególniejszy konflikt.

W Londynie, dzielnicy West-City została spełniona zbrodnia. O świcie, pomiędzy 4-tą a 5-tą godziną zrana — odkryto ją w sposób, w jaki zwykle to siępdzieje.

Ktoś zaalarmował mieszkańców domu, inny pospieszył na strażnicę policyjną, potem zjawił się inspektor z kilku urzędnikami, a wrzeszcie przyszedł i koroner.

Stan rzeczy był następujący:

Jean Réguere zajmujący z żoną swoją Eugenią 4 pokoje na parterze, został znaleziony na środku pokoju z utkwionym w piersi sztyletem. Zbryzgana krwią jego, leżała obok Eugenia, która miała czaszkę młotkiem roztrzaskaną.

W pokoju znaleziono wszystko w jak największym porządku.

Nic nie wskazywałoby na morderstwo, nic czynu krwawego nie tłumaczyło, gdyż wszystkie drzwi i zamki były nienaruszone, nie znaleziono również nic, coby mogło dać wskazówki lub naprowadzić na jakie poszlaki.

— W ostatnich czasach załatwiłeś pan sprytnie kilka spraw, panie inspektorze! — zwrócił się sędzia śledczy do jednego ze swoich urzędników, człowieka niskiego, krępego, o krzywych kabłąkowatych nogach i fizyognomii ptasiej, co wszystko razem wziąwszy nadawało mu nader komiczny wygląd. — Staraj się pan wyświetlić tą historyę, wiem już, jak się prasa na nas rzuci, skoro tylko dowie się o tem nowem morderstwie!

Inspektor Snatterboks — tak bowiem zwał się ów bohater, skrzyżował ramiona na piersi i patrzał przez chwilę na pomordowanych.

— Czy czasem znaczna różnica wieku zachodząca między pomordowanymi, nie ma związku jakiego ze zbrodnią?

Pytanie to zresztą nasuwało się samo.

Jean Béguerre miał dobrze po pięćdziesiątce. Włos miał na skroniach zupełnie biały, na głowie silnie przerzedzony. Nos wystawał znacznie z twarzy. Prócz śladów gwałtownej śmierci widniało w jego rysach zmęczenie i schorowanie. Przeciwnie żona jego, młodziutka i ładna kobieta, nie ucierpiała nawet przez straszną śmierć nic ze swojej wyjątkowej urody.

Złote blond włosy otaczały prześliczną twarzyczkę, ręce jej były białe jak śnieg. Postać cała pozwalałaby raczej domyślać się w niej panny, niż małżonki Jana Béguerre, z którym dwa lata już żyła.

To były fakta na razie pospiesznie przez policyę stwierdzone. Tak rzecz przedstawiał portyer, jak i lokatorzy domu.

— Wzajemne samobójstwo jest tu wykluczone! — odpowiedział koroner — Ta delikatna kobieta nie byłaby nigdy w stanie z taką siłą wepchnąć nóż w piersi swego męża. Pomijając to, nie mogłaby przecież siekierą rozbić sobie sama głowy. Jeżeli czyn ten spełnił mąż jej, to z drugiej strony jest niemożliwe, by śmiertelnie ugo

dzona mogła go była nożem zabić — nie ulega zatem żadnej wątpliwości, że nie jest to wzajemne samobójstwo!...

Tymczasem koroner zbadał zwłoki. Był to człowiek rozumiejący swoje rzemiosło i uprawiający je od 20 lat przeszło. Wstał z podłogi i rzekł do inspektora:

— Śmierć tego człowieka nastąpiła na godzinę wcześniej niż śmierć kobiety!

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? Czy to znaczy, że śmiertelne rany odnieśli oboje równocześnie, a tylko śmierć żony nastąpiła później?

— Nie! Rozumiem przez to, że Eugenia Béguerre w dobrą godzinę została po swoim mężu zamordowaną!

Inspektor potrząsł głową.

— To szczególne! — mruknął zdumiony, a potem pomyślawszy chwilę, zawołał:

— Już wiem! Tu było dwóch morderców. Jeden przyszedł o godzinę wcześniej, drugi o godzinę później!

— O! To było z ich strony bardzo pomysłowe! — drwił koroner — ale inspektor nie słuchał go już i pobiegł na dół, celem dalszego badania świadków.

Skonstantowano, że Eugenia i pan Béguerre spali w krytyczną noc w tym samym pokoju. Nie rozbierali się wcale i nikt nie słyszał w sąsiedztwie, najmniejszego krzyku lub wołania o pomoc Czy Eugenia Béguerre była świadkiem zamordowania swego małżonka?

— Musimy to przyjąć! — zauważył koroner.

— W tym razie mamy nowe ślady — był zdania pan inspektor — W każdym razie zachloroformowano poprzód nieszczęśliwą kobietę. Być może, że zbudziła się za wcześnie i dopiero wtedy została przez zbójów ubita.

Urzędnicy przystąpili do szczegółowej rewizyi. Kasa wertheimowska była nienaruszona, podobnież wszystkie skrycia i kasety, które prawdopodobnie zawierały pieniądze lub kosztowności.

Policya miała trudną zagadkę do rozwiązania. Zamknięto i obsadzono wszystkie wejścia i wyjścia domu, niestety! ostrożność bardzo spóźniona i zgoła zbyteczna, gdyż jasnem było przecież, że morderca musiał od razu po spełnieniu czynu uciec.

Gdy inspektor prowadził dalej badania świadków, rozległ się nagle w domu przeraźliwy krzyk. Konstable z inspektorem na czele pospieszyli. Krzyk zamienił się w jakiś ryk wściekłości. Ryk ten pochodził z ust inspektora. Duży, wysmukły człowiek przebiegł mu drogę, gdy Snatterbox spieszył w kierunku piwnicy, skąd głos się wydobywał.

Zbieg uciekał jak lis krętą linią i rzeczywiście udało mu się dzięki nadzwyczajnej sile powalić drugiego konstabla, usiłującego go powstrzymać. Atoli w samych już drzwiach został pochwycony silnemi ramionami dwóch policyantów. Po krótkiej walce został przecie pokonany i zaprowadzony do pokoju, gdzie zbrodnia miała miejsce.

W tej chwili otoczyli go obecni i oglądali ciekawie od stóp do głowy.

Złapany nie liczył więcej, nad jakie 28—30 lat życia. Był silnie i dobrze zbudowany i miał nawet dość sympatyczny wyraz twarzy. Ubiór jego i maniery wskazywały na to, że człowiek ten przywykły jest do ciężkiej pracy fizycznej.

Urzędnicy zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia widząc, że ubiór nieznajomego jest krwą zbryzgany.

— Podnieś pan ręce! niepotrzebnie trzymasz je ciągle na plecach — rozkazał inspektor, a jeden z konstablów podniósł mu ręce.

Teraz można było spostrzedz, że ręce jego są we krwi skąpane.

— Kto pan jesteś? — zapytał Snatterbox.

— Nie daję żadnej odpowiedzi!

— Hm! Dobrze pan robisz — mruknął pod nosem inspektor. — Skąd się bierze tutaj ten człowiek?

Dwie jakieś kobiety weszły teraz i jedna z nich zaczęła mówić:

— Chciałam z panią Lowell iść do piwnicy. W tej chwili, gdyśmy drzwi otworzyły rzucił się na nas jakiś człowiek.

Pani Lowell krzyknęła, ale on zatkał jej usta ręką, natomiast ja zaczęłam krzyczeć na całe gardło i biegłam za nim na górę do westibulu. W tym czasie zjawił się inspektor, ale został przez niego przewrócony.

— Więc ten człowiek ukrył się w piwnicy?

— Tak jest!

— To szczególne! Miał przecież dosyć czasu do ucieczki.

Chyba, że spłoszył go ktoś przedtem i nie miał już czasu, by niepostrzeżenie ten dom opuścić!

Koroner, który był innego zdania — odpowiedział:

— Zbrodnię odkryto między 4 a 5-tą godziną, ale śmierć Jana Béguerre nastąpiła już o północy, podczas, gdy żona jego Eugenia skonała dopiero po godzinie 1-ej.

— Do dyabła! – zawołał Snatterbox, zwracając się do aresztowanego — Słyszysz pan! Co robiłeś w tej piwnicy?

— W każdym razie Jan Béguerre schował pieniądze w piwnicy, o czem zapewne ten opryszek wiedział — wmieszał się do rozmowy inspektor Snatterbox. — Zobaczę, czy się nie mylę przypadkiem?

— Można tę czynność o wiele uprościć! — zauważył jeden z urzędników — jeżeli tak było, to pieniądze muszą być w kieszeni u złodzieja!

Przeszukano go natychmiast, lecz ku wielkiemu zdumieniu nie znaleziono nic więcej prócz starej portmonetki z dwoma funtami szterlingów.

Inspektor zwrócił się znowu ostrym tonem do pojmanego:

— Czy chcesz pan zrobić zeznanie?!

— Nie mam nic do zeznania!

— Czy byłeś pan w tym pokoju?

— Nie!

Zmierzono następnie długość butów zbrodniarza a Snatterbox badał we wszystkich kątach, czy nie znajdzie się odpowiedni ślad.

— Otóż mamy! — zawołał z tryumfem. — Ani nawet Szerlok Holmes nie byłby wpadł na to! Tu jest wyraźny ślad jego nóżki!

Istotnie, był w tem miejscu dokładny, krwisty ślad stopy.

— A tu odbyła się walka tego nędznika z ofiarą — mówił Snatterbox z tryumfem. — Czy widzicie dywan jest w tem miejscu skopany i podłoga porysowana! Zdaje mi się, że Eugenia Béguerre musiała się zapamiętale bronić!

— Pan jesteś także francuzem! Nieprawdaż? — dał się w tej chwili jakiś donośny głos słyszeć. Głos ten miał tak szczególne brzmienie, a rozległ się tak nagle, że wszyscy obrócili głowy i na chwilę zapanowało milczenie. Człowiek, który tak niespodzianie zjawił się wśród obecnych, miał twarz nader inteligentną o ostrych rysach. W towarzystwie jego był młody człowiek lat około 20.

— Szerlok Holmes! — rzekł jeden z urzędników, którzy ocknęli się z nagłego swego osłupienia.

Wszyscy powtórzyli z czcią i zachwytem nazwisko genialnego kryminalisty.

Rzecz dziwna! Pierwszy, który oprzytomniał i zaczął rozsądnie mówić, był nie kto inny jak podejrzany o spełnienie zbrodni. Twarz zmieniła swój wyraz nie do poznania i z pewną uniżonością rzekł, zwracając się do detektywa:

– W istocie! Jestem francuzem!

— Poznałem po pańskim akcencie! Czy nie zechciałbyś pan opowiedzieć po krótce, co tu się stało?

— Z przyjemnością, panie Holmes!

Ale tu przerwał znowu p. inspektor.

— Byłem właśnie w połowie przesłuchania świadków. — Przy tej sposobności złapałem już to indywiduum na kłamstwie — tu wskazał na nieznajomego złoczyńcę. — Twierdził mianowicie, że nie przestąpił progu tego, a ja mu dowiodłem, że w nim przebywał!

— Jesteś pan piramidalny! — zaśmiał się Holmes.

— Dlaczego pan zaprzeczasz, że byłeś w tym pokoju, skoro te krwawe ślady zdradzają go! To przecież bezcelowe. Jako człowiek rozsądny musisz sobie powiedzieć, że te wykręty nic panu nie pomogą!... Kto pana zamknął w piwnicy?

To pytanie brzmiało tak szczególnie, że aż Snatterbx zawołał:

— Ależ o tem niema nawet mowy Mistrzu! Źle mnie zrozumiałeś!

Skutek tego pytania był zadziwiający.

Zbrodniarz drgnął, spojrzał na Holmesa osłupiałym wzrokiem i wreście wyjąkał:

— Skąd, co, kto to powiedział?!

— Kto powiedział? Ja! Wszak pan słyszałeś! — odpowiedział światowy detektyw ze zwykłym sobie humorem.

Snatterbox pryknął wytwornie ustami i zawołał znowu:

— Hm! to zdaje się jest prawdopodobne, ale racya! Kto panu, panie Holmes powiedział, że on był zamknięty w piwnicy?

— Ależ człowieku — zawołał na to Harry — przecież zbrodniarz nie zatrzymuje się dobrowolnie przez 4 godziny w piwnicy czekając aż wielki detektyw i inspektor policyi Snatterbox przyjdzie po to, aby go —

— Zaaresztować – dokończył tenże z godnością.

— Pan powiesz imię swe? — zapytał wielki detektyw.

— Nie, panie Holmes!

— To głupstwo z pańskiej strony!

— Być może, panie Holmes, ale nie mogę.

— Czy przyznajesz się pan do tego, że popełniłeś podwójny mord na dwojgu tych ludziach?

Pojmany uczynił giest obrzydzenia.

— Nigdy!

— Pozwól pan tedy, że przeszukamy pańskie kieszenie!

— Jużeśmy go zrewidowali! — rzekł Snatterbox — stara pormonetka, oto wszystko, co się znalazło!

— Tak? — rzekł obojętnym tonem Holmes— Harry! dajno mi tutaj nóż!

Harry Takson otworzył i podał duży fiński scyzoryk, a Holmes zaczął odpruwać podszewkę u surduta złoczyńcy, którego dwóch policyantów przytrzymywało, tak się rzucał i bronił przed rewizyą.

Ku zdumieniu wszystkich wypadł z za podszewki jakiś biały papier.

Snatterbox rzucił się jak sęp na niego.

Przytknął go do oczu i po chwili odłożył.

— Rzecz całkiem prosta! — Jeszcze jeden dowód, jak słusznie miałem, określając tego człowieka jako zbrodniarza. W tym papierze wypisał sobie wszystkie kosztowności, jakie spodziewał się zrabować u Jana Béguerre.

Urzędnicy spoglądali po sobie z niedowierzaniem.

— Nie słyszałem jeszcze nigdy, by u człowieka tak prostego i skromnego jak Jan Béguerre, szukać kosztowności! — rzekł wzruszając ramionami Holmes, rzucił okiem na papier, schował go do kieszeni, a potem zwrócił się do inspektora.

— Nie obejrzałeś pan dokładnie tego papieru, po drugiej stronie jest nazwisko!

Tu mistrz zwrócił się do więźnia:

— Czy znasz pan lady Norwich?

Zapytany zadrżał i pobladł. Holmes nie zwrócił na to uwagi; ale Snatterbox wyciągnął gruby z kieszeni notes i zapisał w nim nazwisko: Lady Norwich.

— A zatem pan absolutnie nie chcesz odpowiadać? — spytał Holmes po raz ostatni.

Żadnej odpowiedzi. Teraz postawił pytanie sędzia śledczy.

— Jak pan objaśnisz krwawe ślady na twem ręku i ubraniu?

— Nie mogę objaśnić, bo sam niewiem w jaki sposób to się stało!

— Ależ moi panowie! — zawołał Snatterbox — po co się zatrzymujemy w naszych urzędowych czynnościach? Sądzę, że mamy dostateczne powody i dowody, by tego draba zapakować do kryminału!

Gdybyś pan trafił na jakieś ślady, panie Holmes, proszę natychmiast zawiadomić mnie o tem!

W ostatnich słowach ukryte było szyderstwo.

Szerlok Holmes skłonił się i rzekł:

— Oczywiście! Pan jesteś pierwszym, któremu powierzę moje tajemnice!

Ostatni wyszli Szerlok Holmes i Harry.

— Nędzny samochwalca! — burknął uczeń słynnego detektywa.

Ten położył delikatnie rękę na jego ramieniu.

— Najciekawsze z tego, że żaden z panów nie przypuszcza jednej rzeczy: morderstwo to miało i inny cel. Spojrz no prosto w kąt najbliższej ściany! Co widzisz?

— Do pioruna! Jeśli się nie mylę — jest to wązka szpara w ścianie.

Holmes obejrzał się ostrożnie, czy go nie obserwuje który z urzędników policyjnych, wziął scyzoryk Taksona i utkwił go w ścianie.

W tej chwili wyskoczyła ze ściany mała szufladka.

Harry wydał okrzyk podziwu.

— Mistrzu! Jesteś niedościgniony!

W środku schowku stała kasetka stalowa. Była ona przemocą otwarta i próżna. Detektyw patrzył na nią pod światło.

— Czy widzisz krwawy ślad ręki na pokrywce?

— Well! mr. Holmes! Cóż teraz więc z tem poczniemy?

— Zdaje się, że nic! — odpowiedział Holmes badając przez lupę ślady krwi. — Jedynie co nam ta plama mówi, to jest, że człowiek ten, który się tej skrzynki dotykał, miał na sobie rękawiczki!

Harry spojrzał z podziwem na swego mistrza, a on dodał z lekkim uśmiechem:

— Czy sądzisz, że człowiek przez nich przytrzymany spełnił zbrodnię w rękawiczkach?

ROZDZIAŁ II.

Tryumf Snatterboxa.

Snatterbox odnalazł w książce adresowej pierwsze lepsze nazwisko Norwich — Maud Norwich, wdowa po radcy parlamentarnym i nie namyślając się wcale, pobiegł w towarzystwie trzech brygadyerów na ulicę Regentstreet, gdzie dama owa mieszkała.

— Poczekasz pan przed domem, w którym zniknę — wydał rozkaz brygadyerowi — obsadzisz wszystkie wyjścia domu i jeżeli gwizdnę wtargniesz do mieszkania wraz z twoimi pomocnikami!

— Allright! inspektorze!

W pół godziny dzwonił pan Jonatan, Samuel, Eleazar trojga imion Snatterbox, inspektor z New-Scotland-Yard. do mieszkania lady Norwich.

Ubrany był w elegancki cywilny garnitur

Ładna pokojówka otworzyła mu drzwi.

Snatterbox zameldował się na chybił-trafił.

— Mr. Snatterbox, sekretarz Jego Mości króla środkowych Indyi!

Młoda dziewczyna zmierzyła go od stóp do głów.

— Komiczny sekretarz królewski — mruknęła, meldując swej pani odwiedziny.

Lady Norwich wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Czegóż chce odemnie pan sekretarz króla Indyi środkowych? Na każdy sposób ten łotr źle się poinformował. Jest tylko jeden vice-król indyjski!

Zamyśliła się, poprawiając przed lustrem swoją toaletę.

Była to w całem słowa znaczeniu piękna kobieta w najlepszych latach. Czarne jak heban włosy otaczały śliczną twarzyczkę, a biała muślinowa suknia uwydatniała bujne jej kształty. Wreszcie zdecydowała się.

— Jenny, jak on wygląda?

— Mały, tłusty człeczyna o kabłąkowatych nogach i twarzy drapieżnego ptaka!

Dama skinęła głową.

— Od 8-śmiu dni dzieją się ustawicznie jakieś kradzieże i rabunki w Londynie. Ten jegomość spekuluje albo na moje życie, albo na brylanty. Bo czyżby inaczej mógł wpaść na waryacki a bezczelny pomysł przedstawiania się jako sekretarz króla indyjskiego? A może to waryat na prawdę?

Otworzyła małą kasetkę i podała pokojówce nabity rewolwer.

— Czy umiesz się z tem obchodzić Jenny?

— Ach! lady! Przecież pani wiesz, że mój kochanek jest cowbojem!

— Dobrze! Gdy gwizdnę, wtedy wejdziesz i ustawisz się z rewolwerem przed drzwiami!

— Allright! Czy mam wpuścić bandytę?

— Niech wejdzie!

Jenny schowała rewolwer pod fartuszkiem, wyszła do przedpokoju, zmierzyła jeszcze raz pana sekretarza króla indyjskiego i warknęła raczej niż powiedziała:

— Prrrrroszę tam!

Snatterbox podniósł brwi do góry i odpowiedział gniewnie.

— Naucz się grzeczności, ty dyable fartuszkowy!

Jenny oniemiała na chwilę, a potem zacisnęła ząbki i mruknęła do siebie z pasyą:

— A to bezczelny sekretarz!

— Przybyłem tu lady — mówił Snatterbox stając przed śliczną kobietą, która kolosalne wrażenie na nim zrobiła — przybyłem tu w imieniu Jego Mości króla Środkowych Indyi, by przedstawić pani pewną prośbę —

— Ach! — odpowiedziała lady Norwich. — Najjaśniejszy pan myśli jeszcze o mnie?!

— Naturalnie! Najjaśniejszy pan często wspomina o pani! — zawołał inspektor kontent, że blaga tak dobrze mu się udaje.

— Ach, to przypomina sobie zapewne, jak jeszcze przed 30 laty jako niemowlę na ręku mnie nosił!...

— Dla czegóż by nie!... Zapewnia zawsze, że to jest najwnioślejsza chwila w jego życiu!

— Za wiele zaszczytu! A czego życzy sobie odemnie J. K. M. Najjaśniejszy Pan?!

— Naj. Pan kazał panią prosić, byś mi pani podała adres pewnego człowieka, którego znasz dobrze! Wygląda on mianowicie tak —

I tu opisał pan inspektor człowieka, którego podejrzewał o zamordowanie Jana Béguerre.

Lady patrzyła w zamyśleniu na podłogę.

— Tu musi być waryat! Jakżeż ja mogę znać tego człowieka? — myślała.

Snatterbox przyszedł do przekonania, że na tej drodze nie dojdzie do celu.

Przypuszczał, że podejrzany ten człowiek jest w jakichś stosunkach z damą. Przypomniał sobie

równocześnie, że na kartce, którą ku jego ubolewaniu schował Szerlok Holmes, był opis kosztowności.

Przybrał najpoważniejszą, jaką mógł minę i utkwił oczy w lady:

— Wybacz pani pytanie: Najjaśniejszy Pan interesuje się nadzwyczaj klejnotami pani! Musisz pani posiadać bajeczną ilość pereł i dyamentów!

— Acha! — pomyślała piękna lady — teraz łotr się demaskuje!

— Słusznie! — odpowiedziała głośno — Przecież Naj. Pan sam ofiarował mi swego czasu te kosztowności! Zapewne przypomina sobie jeszcze ów wspaniały brylant tak wielki jak 3 jaja kurze i to jedno na drugiem położone.

Snatterbox otworzył szeroko usta.

— Naprawdę? — zapytał z powątpiewaniem, i pomyślał:

— Czy ona kłamie tak samo jak ja? — i odpowiedział spiesznie:

— Ach! lady! Jestem pasyonowanym amatorem drogich kamieni! Czy nie mógłbym zobaczyć zbioru twoich kosztowności?!

— Dla czegóż by nie? — odpowiedziała z całą swobodą lady Norwich, pomyślała sobie zaś:

— Co za niezręczny rzezimieszek z tego nędznika!

Podniosła się, przeszła do sąsiedniego pokoju i wróciła z kasetką w ręku, ustawiła się zaś tak, że Snatterbox musiał się zwrócić twarzą do drzwi, otworzyła kasetkę i rzekła:

— Patrz pan!

Snatterbox pochylił głowę nad klejnotami.

W tej samej chwili gwizdnęła lady i wskazała na drzwi.

Pod Snatterboxem ugięły się kolana. W drzwiach stała Jenny trzymając w lewej ręce wielki nóż do krajania szynki, a w prawej rewolwer i zawołała:

— Ręce do góry człowieku, albo wpakuję panu w łeb trzy bomby!

— Za pozwoleniem, do miliona dyabłów!

— Ręce do góry!

— Za pozwoleniem, ja jestem —

— Raz, dwa — na „trzy“ strzelam. Rewolwer nabity jest kulami „dum-dum“!

W tym samym momencie przypomniał sobie Snatterbox, że brygadier z trzema konstablami czeka na dole.

I on był również przekonany, że ma do czynienia ze zdecydowaną na wszystko zbrodniarką, nie wzdrygającą się przed pozbawieniem go tak cennego życia!

Wyrzucił tedy ramiona w górę i zarazem gwizdnął przeraźliwie.

— Dla czego pan gwiżdżesz? — zapytała lady.

Ale teraz z kolei zdumiała się ona, gdyż nagle drzwi się otwarły i trzech olbrzymich drabów ukazało się za plecami pokojówki. Jeden z nich rzucił się na młodą dziewczynę, wyrwał jej nóż i rewolwer i związał ją.

Snatterbox uskoczył na bok, wskazał na lady Norwich i zawołał:

— Brygadyerze! zaaresztuj pan tą kobietę!

Równocześnie zabrał małą kasetkę, zawierającą klejnoty lady, która nie mogła się na razie ocknąć ze zdumienia i przerażenia, aż wreście zaczęła w niebogłosy krzyczeć o pomoc.

Na to zbiegli się ludzie.

— Ratujcie mnie! Zbrodniarze! Złodzieje! Mordercy! — krzyczała lady i w tej chwili rzucili się na detektywów panowie, którzy przybiegli kobiecie z pomocą.

— Jestem inspektorem policyi! — zawołał Snatterbox w ostatnim zwątpieniu, gdy zaczęła się w pokoju bijatyka.

— A mnie się przedstawił za sekretarza króla indyjskiego — zawołała lady Norwich, a jeden z panów zawołał:

— Poznaję w nim wyraźnie mordercę z Newcastel, widziałem nieraz jego portret w „Timesie“!

Zaczęła się ordynarna bijatyka.

Snatterbox ściskał kurczowo kasetkę w ręku, chociaż odebrał tyle cięg, jak jeszcze nigdy w życiu. Wreście bitwa skończyła się tem, że brygadyer Snatterbox i obydwaj policyanci zostali związani i wyrzuceni na ulicę.

Na ulicy nadbiegli konstable.

— Tu! czterech zbrodniarzy na raz! — wołano na nich.

Policyanci rzucili się na związanych, niezadługo jednak poznali pomyłkę i uwolnili swych kolegów. Następnie na czele Snatterboxa wtargnęła policya do mieszkania lady Norwich. Ale obrońcy prześladowanej damy zabarykadowali się i z pewnością wybuchłaby na nowo zacięta walka, gdyby inspektor Snatterbox, jako rozsądniejszy nie był ustąpił z pola walki.

Zostawił brygadyera na straży domu i udał się z konstablami na New-Scottland-Yard i tam otworzył małą kasetkę.

Ale wszystko co znalazł w niej, to był puszek do pudru i urywek listu, z którego odczytał inspektor następujące słowa:

— W istocie, mój przyjacielu! Jasteś wielkim durniem!

Snatterbox, który spodziewał się, że znajdzie w kasetce co najmniej skarby padyszacha, był odkryciem tem po prostu zgnębiony. Nie zrażając się jednak nim bynajmniej, zaraz, gdy tylko tłum oblegający dom się przerzedził — wysłał silny oddział policyjny i jeszcze raz kazał rewizyę przeprowadzić.

Ale i to niewiele poskutkowało. Znaleziono bowiem tylko korespondencyę. W zabranych papierach znajdowało się mnóstwo niezapłaconych rachunków, listów upominalnych i wreszcie jeden list datowany z Paryża, którego treść była następująca:

„Moja kochana! Posyłam Ci równocześnie klucz, bez którego niepodobieństwem jest otworzenie kasetki i proszę Cię o jak najszybsze nadesłanie mi brylantów. Tu wszystko po staremu, obawiam się tylko, że ze zdrowiem Harry'ego może być źle, gdyż siły jego znikają z dnia na dzień. Pozdrawiam Cię serdecznie!

Twoja wierna przyjaciółka".

Snatterbox dopatrzył się w charakterze pisma podobieństwa do charakteru, jakim napisany był spis kosztowności i nie namyślając się długo wdział urzędowy uniform i tym razem osobiście udał się z kilkoma konstablami do domu lady Norwich i zapytał ją z miejsca:

— Gdzie się znajduje klucz, o jakim jest mowa w tym liście i w jakim celu otrzymałaś go pani?

Lady zbladła, zaczęła ciężko oddechać i odrzekła wreście:

– Co do tej kwestyi nie daję żadnych wyjaśnień!

Inspektor Snatterbox, pomijając jego śmieszności, nie był ani opieszałym, ani nieudolnym policystą, za dużo był na to pod bezpośrednim wpływem Szerloka Holmesa.

W wypadku tym domyślił się jakiegoś związku między owym listem, kluczem i zamordowaniem Jana Béguerre. Klucza owego, mimo dokładnej rewizyi nie znalazł w mieszkaniu lady. Uzyskał tedy rozciągnięcie nad nią tajnego dozoru policyjnego i wybadał mieszkańców i sąsiadów z kim głównie komunikowała się dotychczas piękna wdówka. Wskazano mu pewnego człowieka niejakiego sir Nattham, byłego sekretarza nieboszczyka jej męża, z którym lady bywała często wieczorami na kolacyi i nieraz nawet odbywała z nim wspólnie wycieczki powozem.

Był to młody człowiek lat około 30-tu, jeden z tych londyńskich elegantów, o którego środkach finansowych znacznie mniej wiedziano niż o wesołem jego życiu.

Młodzieniec przybył jeszcze tego samego dnia do lady, która była przez policyę w domu swoim internowana i dowiadywał się o nią.

— Lady wyjechała w podróż! — oświadczył urzędnik policyjny za lokaja lady przebrany.

Sir Nattham był nie mało zdumiony.

— To nie może być! — mruknął — zameldaj tylko sir Natthama!

— Nie mogę pana zameldować, dla tej przyczyny, że lady nie ma w domu i ogółem w Londynie!

Sir Nattham zamyślił się i wyszedł nie mogąc pojąć przyczyny nagłej niełaski swej przyjaciółki.

Tymczasem inspektor Snatterbox przeprowadził rewizyę w domu sir Natthama i znalazł w jego mieszkaniu mały kluczyk zawieszony na niebieskiej wstążce.

Wstążka miała na sobie ślady krwi.

Z tryumfującą miną schował klucz do kieszeni.

Następnie rozkazał służącemu, by mu pokazał wszystkie buty swego pana. Zdziwiony lokaj wykonał rozkaz i dla dokładności oświadczył, że jeszcze jedna para butów znajduje się w naprawie u szewca.

Snatterbox pospieszył z policyantem do wskazanego mu szewca.

— Czy masz pan tu buty sir Natthama?

— Tak jest! Właśnie dałem nowe podeszwy!

— A gdzie są stare?

Szewc podał mu parę podeszw, na których widoczne były czerwone plamy.

Snatterbox schował je jako „corpus delicti" do kieszeni i wrócił do mieszkania sir Natthama.

W westibulu spotkał się właśnie z młodym człowiekiem, który wracał z odwiedzin u swej lady.

Położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Sir Nattham! Czy byłeś pan onegdajszej nocy w mieszkaniu Jana Bérguerre, którego wraz z żoną zamordowano?

Zapytany zmięszał się widocznie. To biadł, to czerwieniał, bąkał jakieś słowa bez związku, aż wreście zdobył się na odpowiedź:

— Nie!

Ale w odpowiedziach wikłał się coraz bardziej.

Snatterbox skinął na swoich urzędników.

— W imieniu prawa! Aresztuję pana, dopóki nie wykażesz swojego alibi w krytycznej nocy!

ROZDZIAŁ III.

Tajemnica kasetki.

Szerlok Holmes siedział u siebie w domu i palił krótką swą fajeczkę, delektując się wonnym tureckim dymem.

— No i cóż mój przyjacielu Harry! Jak stoi sprawa z nowymi śladami zbrodni?

Harry Takson poczerwieniał.

— Myślałem długo nad tem, ale niestety! Do żadnego rezultatu nie przyszedłem! To, co mamy w ręku jest bardzo skąpe i niewystarczające! Kartka ze spisem brylantów i pereł, i nazwisko nieznajomej osoby po drugiej stronie! Musiałem się ograniczyć na odwiedzeniu tej pani, która nosi owo nazwisko. Nie zastałem jej w domu.

— Posłuchaj Harry! – mistrz odpowiedział — jesteś inteligentnym i zdolnym człowiekiem. Chcę cię więc wtajemniczyć w moje kombinacye w odniesieniu do tej dyabelnie powikłanej sprawy.

Przy tych słowach wyciągnął z kieszeni ową historyczną kartkę, a Harry zawołał prędko:

— Przedewszystkiem, proszę — objaśnij mi jedno mistrzu! Z jednego nazwiska, czyż można coś wnioskować?

— Spis kosztowności nie jest pisany tą samą ręką, co i nazwisko: Lady Norwich. Spis kosztowności pisany jest kobiecą ręką. ręką wprawną, prawdopodobnie arystokratki jakiejś, smukłej, wytwornej kobiety lat około 30-tu, francuski, która kształciła się nie w szkole, lecz prywatnie w domu — —

Harry słuchał w milczeniu.

— I to wszystko poznałeś pan z tych kilkunastu wyrazów?

— Oczywiście!... Czem zresztą różniłby się detektyw od zwyczajnego laika, gdyby nie był w stanie odgadnąć tego, co przed wzrokiem innych jest zakryte? Forma pisma każe się domyślać wązkiej, nerwowej, kobiecej ręki. Rodzaj liter, kierunek pisma — zdradza francuzkę. Są tu również drobne usterki ortograficzne, co prowadzi mnie do wniosku, że dama ta nie pobierała nauk systematycznie w szkole, lecz prywatnie i to bardzo nie wystarczająco się uczyła.

Są to bardzo słabe poszlaki, ale na każdy sposób pozwalają mi już wnioskować o owej czwartej, mistycznej osobie odgrywającej rolę w krwawym dramacie.

Holmes usiadł w fotelu przymknął oczy i mówił jakby sam do siebie:

— Kobieta piękna, i z pewnością nie zła kobieta!

— Ależ mistrzu! Mówisz o jakiejś czwartej osobie. Przedewszystkiem mamy jedną tylko uwikłaną w tę sprawę!...

Detektyw się zaśmiał.

— A rzeczywisty morderca?

W tej chwili wszedł służący i podał detektywowi najnowszy numer porannego dziennika. Holmes przejrzał go pospiesznie i podał z uśmiechem swemu uczniowi, wskazując palcem na senzacyjny artykuł zatytułowany:

„Wyjaśnienie morderstwa Béguerrów“.

Artykuł widocznie inspirowany przez pana Snatterboxa, był — można powiedzieć jedną odą pochwalną na cześć jego sprytu, zdolności i odwagi. Po za tem artykuł streszczał znane nam wypadki, jak znalezienie klucza ze skrwawioną niebieską wstążeczką w domu francuza, aresztowanie tegoż i postawienie pod dozór policyjny lady Norwich.

Wtem zabrzmiał gwałtownie dzwonek w przedpokoju i do gabinetu Holmesa wpadł jak bomba Samuel Eleazar Snatterbox we własnej osobie.

– Co powiesz mistrzu na moje sukcesa? — zawołał zaraz od drzwi.

— Jestem dla pana z całem uznaniem! — odpowiedział wielki detektyw. — Spisałeś się pan, panie Snatterbox! Pokaż no pan ów klucz na niebieskiej wstążce!

— Well! Zobaczysz go pan zaraz! Możesz go pan nawet zabrać, co mi po nim, ale zaczekaj pan — skrwawioną wstążkę zatrzymam, a jest to dowód winy świadczący przeciw Natthamowi!

— Słusznie inspektorze! Nie daj sobie nikomu zabrać owoców zwycięstwa! Ja chciałbym tylko klucz widzieć!

— Na co to panu? — zapytał inspektor nieufnie.

— Chciałbym się przekonać, czy klucz ten nie nada się do jakiejś skrytki w mieszkaniu małżeństwa Béguerre!

— Co do tego mogę pana zapewnić, że na próżno byś próbował. Przypuszczam raczej, że jest to klucz od jakiejś kasetki, którą Nattham dawno już gdzieindziej ukrył, kasetki napełnionej owemi kosztownościami zrabowanemi z mieszkania Béguerów!... Ale, ale, gdzieżeś to pan bywał, panie Holmes dzisiejszej nocy? Ludzie moi widzieli pana kilkakrotnie!

— Powiem panu chętnie! — rzekł z uśmiechem wielki detektyw. — Dowiadywałem się o osobie zaaresztowanego francuza, tego samego, który był w piwnicy zamknięty. Poruszyłem dzisiaj wszelkie sprężyny, by dowiedzieć się coś bliższego o pani Eugenii Béguerre.

— Wszak mówiłeś pan dopiero co o francuzie!

— Tak jest, i dlatego właśnie dowiadywałem się o Eugenię Béguerre. To był mój pomysł — powiedzmy, mój kaprys taki!

Bo proszę posłuchać: Morderstwo męża i żony, z których pierwszy jest bardzo stary i brzydki, druga młoda i ładna. Jako morderca podejrzany jest również młody i wcale niebrzydki człowiek. Najprostsza kombinacya, że musi zachodzić jakiś związek między dwojgiem młodych ludzi. Czy nie tak?!

— Być może!—odparł niechętnie Snatterbox — nie rozumiem się na miłostkach!

— Z wyjątkiem tych wypadków, gdy pan sam jesteś zakochany! — zauważył Harry złośliwie, a Szerlok Holmes mówił dalej:

— I moja kombinacya nie była wcale zła! Dowiedziałem się, że widywano bardzo często ich razem niektórzy nawet upierają się przy tem, że domniemany morderca narzucał się pani Eugenii w niedwuznaczny sposób ze swojem towarzystwem.

— Dramat zazdrości? — bąknął Snatterbox. Holmes wzruszył ramionami.

— To się okaże dopiero! Znalazłem jeszcze jednego świadka, który udzielił mi bliższych szczegółów o uwięzionym. Jest to kowal, mieszkający w najbliższem sąsiedztwie z p. Jackiem Poitiers.

— Więc aresztant nazywa się Jack Poitiers?

— Well! Jest kowalem i mieszka od kilku miesięcy w Londynie. Dowiedziałem się również, że Eugenia Béguerre spotykała się nietylko z Jackiem Poitiers, ale jeszcze i z drugim, panem X.

— Cóż to za pan X.? — zapytał inspektor zdumiony.

— „X“ jest, jak panu z arytmetyki wiadomo, ilością nieznaną!

— Ale jak może w przybliżeniu to „X“ wyglądać?

— I o tem mam dokładniejsze wiadomości! Jest to człowiek o czarnej brodzie i bladej twarzy. Maniery i ubranie nader eleganckie, nieznajomy, o którym nikt nic pewnego nie wie! Mimo tego jest to dla nas niezmiernie ważny czynnik!

— I tego „X“ chcesz pan odszukać?

— Nie inaczej kochany inspektorze! Wszak wiesz, że w zrównaniach najważniejszą rzeczą jest właśnie odszukanie niewiadomej, owego „X“!

— Życzę powodzenia! Co do mnie nie miałem nigdy zbyt wielkiego przekonania do matematyki! Co się tyczy urzędowych moich czynności, ja nie goniąc za żadnymi X-mi lub Y-nami, złapałem żywego zbrodniarza, mam go pod kluczem i — koniec!..

Przy tych słowach wykręcił się na pięcie i skłoniwszy się grzecznie obydwu detektywom, wyszedł.

Gęsty zmrok zapadał, gdy Holmes z Taksonem weszli do domu, gdzie zbrodnia została spełniona.

Udając, jakby w tym domu mieszkał, skorzystał Holmes z tego, że nikt go nie widział, otworzył prędko wytrychem drzwi do mieszkania zamordowanych Béguerrów, a wszedłszy razem z Taksonem zamknął je za sobą starannie.

Nadmienić musimy, że dom nie był już przez policyę strzeżony, a trupy pomordowanych zostały przetransportowane do przedpogrzebowego domu.

— Poczciwy Snatterbox nie przeczuwa nawet, jaką usługę nam wyświadczył, oddając ów klucz, od którego skrwawioną tasiemkę schował sobie na pamiątkę! — rzekł Holmes przyciszonym głosem.

Następnie, przy blasku swej elektrycznej latarki zaczął próbować, czy klucz ów nie nadałby się do jakiego zamku.

Nie było szafy, biurka, najmniejszej skrzynki lub pudełka, któreby przy tych próbach pominęli.

Klucz jednak nie nadawał się do żadnego.

Zawiedzeni w swych nadziejach zabierali się

już do wyjścia, gdy Holmes ujrzał wielki pęk kluczy wiszących na drzwiach kuchennych i zabrał je do kieszeni.

— Co zamierzasz Mistrzu? — zapytał Harry.

— Zobaczymy jeszcze do piwnicy.

— Jakież to proste! — pomyślał Harry — a przecież nie przyszedłbym na to!

Obydwaj mężczyźni zaszli na dół po ciemnych krętych schodach i po długich poszukiwaniach natrafili na małą nyżę w piwnicy, gdzie na ścianie przylepiona była mała kartka papieru z czarnym napisem: „Béguerre“.

Tu stała duża skrzynia, masywnej ciążkiej roboty, a prześliczne jej wykonanie, jak i wyborowy materyał świadczyły o tem, że musiała pochodzić z przed wielu, wielu set lat.

Skrzynia była już poprzód otwarta wytrychem.

Z pomocą Taksona zsadził ją Holmes na ziemię i z pewną powagą otworzył jej wieko.

Spojrzeli ciekawie do środka.

Wnętrze skrzyni było całe wyścielone niebieskim adamaszkiem, zupełnie spłowiałym, a po części i zniszczonym przez mole. Na dnie jej spoczywała mała branzoletka z nanizanych na sznurek drobnych, czarnych szyszek, jakiemi często lubią się bawić dzieci.

W kącie skrzyni zabłysło coś. Holmes wyciągnął palcami ten mały, okrągły przedmiot i przekonał się, że była to przepiękna, kosztowna perła.

— No! — zawołał Holmes — Byłoby to dowodem, że perły i brylanty wyliczone w spisie zostały wykradzione. Zobaczmy, czy to jest wszystko?!

I Holmes zaczął najdokładniej opukiwać ściany skrzyni, a nawet nożem oderwał część adamaszku, którym wnętrze jej było wysłane.

— Kawałek papieru! — zawołał Harry radośnie i wyciągnął z za niebieskiej materyi istotnie kawałek zniszczonego, pożółkłego papieru. Papier ten zawierał następujące słowa:

„Na dzisiejszym dniu 17 listopada 19.... wydano rewers opatrzony Nr. 209 dla „Hospice des enfants trouvés“ w Remiremont. Dziecko mające tą liczbę, jest męskiego rodzaju, liczy kilka dni — rodziców niewiadomych. —

Proboszcz — Abbé Valliers“.

Harry Takson patrzył osłupiały na Holmesa.

— Co to znaczy mistrzu?

Ale wielki detektyw nie odpowiedział zrazu nic. Twarz jego wyrażała surowe zamyślenie i powagę. Oczy utkwił w ziemi.

Dopiero po długim czasie odjął rękę od czoła i rzekł:

— To jest dokument podrzutka. mój przyjacielu!

— Skąd on się bierze w tym kufrze?

— Dowiemy się i o tem!

— Czy byłeś pan przygotowanym na znalezienie czegoś podobnego?

— Nie! — odpowiedział wielki detektyw z właściwą sobie otwartością.

ROZDZIAŁ IV.

Kamienna piramida.

— Spakuj rzeczy do walizy; musimy się wybrać w drogę, która potrwa prawdopodobnie do 8-miu dni, chociaż nie jest wykluczone, że w 2 lub 3-ch dniach dojdziemy do jakiegoś rezultatu!

Tak rzekł wielki detektyw do swojego ucznia, który natychmiast zajął się przygotowaniami potrzebnemi do podróży.

Następnego dnia zrana wybrali się obydwaj detektywi z Dovru do Calais, a stamtąd, nie zatrzymując się nigdzie — przez Paryż do Remiremont.

Jest to małe starożytne miasteczko w departamencie Wegazów położone, liczące jakie 10.000 mieszkańców.

Kilka większych fabryk, teatr, biblioteka i dom podrzutków nadają mu wiele nowożytnego charakteru. Koszary wojskowe i stary farny kościółek dopełniają liczby gmachów.

Holmes udał się wraz z Taksonem do domu podrzutków.

Po wielu trudnościach i formalnościach dostąpił wreście zaszczytu ujrzenia oblicza tak wysokiego dostojnika, jak dyrektor zakładu.

Detektyw zapytał go o losy dziecka oddanego swego czasu do domu podrzutków pod L. rewersu 209.

Urzędnik zrobił wysoce dyplomatyczną minę.

— Mogę wam tylko moi panowie służyć objaśnieniem, którego dnia i godziny przyjęto do zakładu naszego odnośne dziecko.

— Zaraz zobaczymy! — mówił dalej przewracając karty w wielkiej księdze — Nr. 209?... Zaraz! zaraz!... hm! — 207 — przyjęto w lipcu — 208 w cztery tygodnie później — 209 — Gdzież jest Nr. 209?!... Nie ma go wcale!

Zamknął księgę i odsunął ją.

— Pod Nr. 209-tym nie oddano nam w ogóle żadnego dziecka!

— Tego nie pojmuję! — rzekł Szerlok Holmes — Jakżeż to możliwe, skoro w ręku mam rewers oddawczy, opatrzony właśnie tym numerem!

— I to mogę panu wyjaśnić! — odpowiedział urzędnik, założywszy ręce na wydatnym brzuszku— Zdarza się czasem, że nieprawe dziecko przychodzi na świat w miejscowości należącej jeszcze do naszej parafii, ale bardzo od niej odległej. Oddają je w takim razie zazwyczaj miejscowemu proboszczowi, ten lokuje dziecko u nas i wystawia noworodkowi odpowiednie dokumenty, i zachowuje je u siebie. Dokumenty te zaopatruje są samą liczbą, jaką otrzymuje dziecko u nas.

— Bardzo ładnie! — odparł Holmes ironicznie — z tą tylko różnicą, że dziecko, którego numer ma w danym wypadku proboszcz — że dziecko to wcale nie zostało oddane do domu podrzutków!

Dyrektor skinął głową.

— Tu kryje się w każdym razie jakaś tajemnica, której objaśnić panu nie jestem w stanie!

Holmes podziękował i wyszedł wraz ze swym pomocnikiem.

Pierwsze lepsze dziecko wskazało im drogę do probostwa.

Podróżnicy zastali siwego, czcigodnego staruszka zajętego uczeniem się na pamięć kazania przeznaczonego na najbliższą niedzielę.

Mimo tego przyjął ich nadzwyczaj uprzejmie i zapytał zaraz o cel przybycia.

Szerlok Holmes skłonił się i podał duchownemu rewers Nr. 209.

— Czy ksiądz proboszcz dobrodziej nie mógłby mnie objaśnić dla kogo został ten papier wystawiony?

Ksiądz spojrzał w papier, następnie przyniósł z drugiego pokoju wielką księgę, w którą zaciągał urzędowe czynności, włożył na nos okulary i mówił sympatycznym niskim głosem:

— To było w październiku! tak jest! przypominam sobie dokładnie! Z tym numerem, to jest szczególniejsza historya! Niech Bóg zachowa, by było z nią w związku coś, co sprzeciwia się prawom Boskim lub ludzkim!

— Właśnie mojem zadaniem jest zbadanie tej sprawy! — odpowiedział słynny detektyw.

Proboszcz zmierzył go nieufnym wzrokiem.

— Niech pan pamięta o tem — rzekł mu — że niechętnie udzielam objaśnień, które mogą kogoś nieszczęśliwego jeszcze więcej unieszczęśliwić!

— Bądźcie spokojnym księże proboszczu! — odparł Holmes z powagą. — Mojem zadaniem jest właśnie oczyszczenie z niesłusznych zarzutów kilku nieszczęśliwych ludzi!...

— Jeżeli tak jest istotnie, to zamiary twoje są dobre! — odrzekł proboszcz. — Posłuchaj pan zatem historyi rewersu Nr. 209.

Była to ciemna, burzliwa noc, deszcz dzwonił w szyby, a wicher dął z taką gwałtownością, że omal dachu nie zerwał mi nad głową. Błyskawice rozrywały bezustannie niebo a grzmoty nie ustawały rozlegać się złowrogiem echem po górach. Wtem — na krótko przed północą, pomimo gwałtowności szalejącej burzy — usłyszałem odgłos kopyt końskich. Nocny jeździec zatrzymał się tuż przed bramą probostwa.

Nie należy to wcale do rzadkości w moim zawodzie, że późną nocą jestem wzywany do chorego, łaknącego ostatniej pociechy... W tej chwili zapukano do drzwi i stara gospodyni moja pospieszyła otworzyć. Ale w tej chwili zatoczyła się na ścianę i wydała okrzyk przerażenia. Na to odzywa się głęboki jakiś głos męski:

— Nie obawiaj się niczego, kobieto! Chciałem tylko o jedną wielką grzeczność prosić księdza proboszcza!

Ujrzawszy wchodzącego, pomyślałem w pierwszej chwili, że jest planowany jakiś zamach bandycki na mnie, gdyż człowiek trzymający w ręku małe zawiniątko, miał na twarzy gęstą, czarną maskę. Płaszcz jego spływał wodą, gdy wszedł do pokoju.

— Bądź spokojnym księże proboszczu! — rzekł ów człowiek — Ta maska ma na celu tylko to, byś mnie nigdy w życiu nie poznał, a robię to przez wzgląd na matkę tego dziecka!

Przy tych słowach odwinął ze szmat maleńkie dzieciątko, całe zziębłe i zmoczone.

Żal ścisnął mi serce na widok bladej jego twarzyczki.

— Uważaj pan! — zawołałem — to maleń-

stwo może zamrzeć na takiem strasznem powietrzu!

— Nie ma obawy! — odpowiedział zamaskowany człowiek — Strzegę je dobrze!... Chciałem prosić księdza dobrodzieja o wydanie mi odnośnego pisemnego polecenia, gdyż mam nakazane odstawić dziecię do domu podrzutków w Remiremont! Nie moją rzeczą jest badanie ludzkich tajemnic, sądziłem przy tem, że najlepiej będzie dla dziecka, gdy się znajdzie pod troskliwą opieką dobroczynnego zakładu.

Wydałem więc odnośny rewers, zaopatrzony liczbą porządkową Nr. 209. Nieznajomy podziękował, zabrał dziecko, dosiadł konia i zniknął w ciemnościach nocy.

Od tego czasu nie słyszałem nic o nim, ani o dziecięciu!

Detektywi pożegnali się z czcigodnym staruszkiem i zabrali się napowrót do Remiremont. Tym razem jednak szli nie gościńcem, lecz polną drogą spinającą się wśród pagórków i winnic wzdłuż potoku.

Harry zauważył, co go zresztą bardzo zastanowiło, że Szerlok Holmes nie odwracał prawie oczu od potoku, często nawet zatrzymywał się — to znowu wracał kawałek wstecz. Jednem słowem żadne drzewo, żaden krzak, ani odłam skały nie uszedł baczności bystrych jego źrenic.

Nareście zapytał Harry:

— Czegóż szukasz Mistrzu?

— Zaraz to zobaczysz, jeżeli kombinacye mnie nie mylą — i naprawdę —

Nie uszli pół godziny drogi, gdy Szerlok Holmes podszedł do miejsca, skąd widać było na samym środku potoku ustawioną z gładkich kamieni piramidę.

— Czy musimy się tam dostać! — zapytał, gdyż perspektywa brnięcia po kolana w zimnej wodzie nie uśmiechała mu się wcale.

Holmes skinął, zdjął natychmiast obuwie i wszedł do rwącej wody.

Harry, rad nie rad uczynił tosamo.

Wreście zmoczeni i zziębnięci dotarli do piramidy, ustawionej na małej wysepce i zaczęli ją rozbierać.

Nagle okrzyk zdumienia i przerażenia wydarł się z ust chłopca. Pod kamieniami w małem zagłębieniu znajdował się mały szkielet.

— Czy widzisz? — zapytał Holmes na pół się odwracając.

— Tak Mistrzu!... Szkielet dziecka!

— Tak jest!

Następnie złożyli kamienie, tak jak były, tworząc sztuczną piramidę i wyszli na brzeg.

Szli teraz prędko, by się rozgrzać i o ile można i uchronić się od złych skutków zaimprowizowanej tej kąpieli.

Wreście Harry przerwał milczenie.

— Więc pan od razu, na pewne szukałeś grobu dziecka w tych stronach?

— Jak widziałeś!

— Tak! tak! słusznie! — mówił Harry w zamyśleniu. — Domyślałeś się, że człowiek w czarnej masce, nie wykonał tego, co mu matka dziecięcia poleciła, lecz stał się jego mordercą i tu pod kupą kamieni je pogrzebał.

— Masz słuszność Harry we wszystkiem, aż do ostatniego punktu, w którym obwiniasz nieznajomego o śmierć dziecka. Aczkolwiek wszystko przemawiałoby za twojem twierdzeniem — ja jestem wręcz przeciwnego zdania. To dziecko umarło naturalną swoją śmiercią!

— Z czego to pan wnioskujesz?

— Z następstwa wypadków! Jeżeliby człowiek w czarnej masce chciał dziecko uśmiercić — to, na Boga! jakiż by cel miał w tem, by robić księdza uważnym na egzystencyę maleństwa? Przypomnij sobie co mówił proboszcz, że dziecko było blade i zziębnięte — na polu szalała burza, W tych warunkach dziwiłbym się właśnie, gdyby dziecko nie było umarło! Jeździec, spostrzegłszy śmierć jego, umieścił zwłoki w zaimprowizowanym grobie, który jeszcze zaznaczył kamieniami. Gdyby zaś był mordercą, starałby się raczej o ukrycie śladów rzekomej swej brodni!

— Przyznaję zupełną racyę logicznym rozumowaniom pana — rzekł Harry — jednak nie może mi w głowie się pomieścić, w jakim związku może stać śmierć tego dziecka z osobami uwikłanemi w zbrodnię w Londynie odkrytą?

— W takich wypadkach z jakim tu mamy do czynienia. mój Harry byłoby nieroztropnością, jeżeli już nie nonsensem robienie jakichś wniosków które mogłyby nas na najfałszywsze tory zaprowadzić!

— Co chcesz przez to powiedzieć Mistrzu?

— Nic więcej po nad to, że nie odjedziemy stąd tak prędko do Londynu. Co najwyżej pójdziemy kilka kilometrów dalej i — jestem przekonany — że natrafimy na nowe ślady. Nie zapo

minaj o nader ważnej okoliczności: Eugenia Béguerr, druga ofiara zbrodni londyńskiej — pochodzi z tych tu okolic właśnie!

Tak rozmawiając zaszli do wsi. Słońce miało się już ku zachodowi, a wieśniacy siedzieli p ed domami, gwarząc swobodnie ze swymi sąsiad . Większość ich paliła fajki.

Szerlok Holmes zbliżył się do jednego ze starszych gospodarzy i rzekł w przyjaznym tonie:

— No, i cóż ojcze, jak smakuje fajeczka?

Stary uśmiechnął się, pokazując bezzębne dziąsła.

— Pewnie, że smakuje!... Panowie zdaje się nie tutejsi?

— Zupełnie nie tutejsi! Przybywamy z bardzo daleka!

— Co wy mówicie? Może z obcego kraju?

— Tak! Chcemy się dowiedzieć o pewnej dziewczynie, której krewny z Ameryki zapisał ładne pieniądze. Wiemy tylko o niej tyle, że wyszła potem za mąż za niejakiego pana Béguerre!

— Béguerre? — zawołali chórem wieśniacy — to będzie z pewnością pan Béguerre.

— Czy go znacie?

— Jakżeż nie? 30 lat żył tu znami, a Eugenia Haquei, z którą się ożenił, jeszcze przed trzema laty była u nas! Niezły człowiek, ale od czasu, jak został pełnomocnikiem hrabiny Castellone, uważał się za jakąś wyższą istotę od nas! Dla tego sprowadził Eugenię za sobą do Londynu i tam się z nią ożenił!

— Czy hr. Castellone to już stara kobieta?

— Ale gdzież tam! Hrabia ożenił się z nią zaledwie przed kilku laty. Ładna, bo ładna ale dumna!... A nie powinna być taką. Wszakżeż pochodzi z tej samej krwi, co i my, a przed 10 laty — ha! ha! ha! — byłby każdy przysiągł, że zostanie raczej panią Béguerre niż hrabiną Castellone!

— Czy stary Béguerre starał się o nią?!

— Nie na to by się nie odważył, bo Magdalena — to jest pani hrabina — ale wtedy nazywała się jeszcze Magdalena Poitiers, to była dziewczyna stasznie zarozumiała na swoją piękność. Umizgał się do niej syn starego, Piotr Béguerre, który zginął potem w Legii Cudzoziemskiej. Niech tam spoczywa w spokoju, ale był to straszny nicpoń. Tymczasem Magdalena wpadła w oko młodemu hrabiemu, u którego matki była dziewczyna pokojówką.

Nagle, umiera stara hrabina. Piotr zaciągnął się do Legii cudzoziemskiej i niezadługo słyszymy, że młody hrabia ożenić się ma z Magdaleną Poitiers!

Niektórzy mówili, że Piotr dostał pieniądze za to, żeby się wyniósł gdzie pieprz rośnie!

Szerlok Holmes siedział przez chwilę w milczeniu a Harry mruknął pod nosem:

— Poitiers! Poitiers!... podobne nazwisko słyszałem już w Londynie!

— Ale brat Magdaleny Poitiers był przecież innym człowiekiem? — zapytał nagle Holmes.

— Brat? A tak! Jack Poitiers? Z pewnością! Miał trochę w głowie przewrócone, ale można powiedzieć, że był przeciwieństwem Piotra, chociaż żył z nim w przyjaźni! Jack był kowalem, chłopak uczciwy i pracowity!... Ho! ho! pamiętają jeszcze wszyscy jak obydwaj za łby się wodzili o Eugenię! Tak! Jack Poitiers kochał się w Eugenii, ale gdy jej jego przyjaciel Piotr głowę zawrócił, to dziewczyna nie chciała już nic wiedzieć o pierwszym kochanku! Gdy potem Piotr poszedł do Afryki, to i Jack Poitiers zginął gdzieś bez śladu, było to na krótko przed ożenieniem się hrabiego z jego siostrą Magdaleną. No, teraz Eugenia nie miała żadnego amant To też, gdy ojciec Piotra zaczął ją pocieszać, ni wzbraniała mu się bardzo, no i doszło do tego, pojechała za nim do Londynu i tam ślub w ęli i została panią Béguerre!

— A cóż robił stary Be uerre w Londynie?!

— On? On został plenipotentem Magdaleny, to jest, chciałem powiedzieć, pani hrabiny Castellone. A gdy hrabina zaczęła podróżować odkomenderowała go na stałe do Londynu.

— Czy pani hrabina jest bardzo bogata?

— Myślę!... Młody hrabia ofiarował jej jako ślubny prezent wszystkie rodzinne klejnoty, które same mają milionową wartość. Z gotówką to tam nie świetnie być musi, bo hrabia ma cały majątek w dobrach ziemskich!

— To zdaje się, że zamek hrabiego musi być niedaleko? — zapytał Holmes.

Stary wstał. Odezwał się dzwonek kościelny na „Anioł Pański". — Czas był na skończenie rozmowy.

— Na końcu wsi, gdy pójdziecie na prawo od plebanii, to ujrzycie tuż pod lasem zamek. Piękny to ten zamek Castellone! W okolicy nazywają go ogólnie „Zamkiem skalistym"!... No, dobranoc moi

panowie! Darujcie staremu, że mu się gęba rozpuściła jak kołowrotek!

Detektywi pożegnali się z wieśniakami i poszli, ale Harry słyszał jeszcze jak jeden z nich mówił do starego:

— Jesteście nieznośnym gadułą. Niech się wasze bajdurzenia doniosą do zamku, to może być źle z nami! Hrabina nie zna żartów!

Podróżni dotarli do najbliższej gospody, i gdy wreście znaleźli się sam na sam wśród czterech gołych ścian, zapytał Harry niecierpliwie:

— No i cóż, kochany Mistrzu?!

Wielki detektyw wypuścił kłąb dymu z fajeczki, którą wchodząc do oberży zapalił.

— Wszystko jest jasne! — odparł krótko. — Tylko ten pan „X“ da nam jeszcze wiele do roboty!

— I w tym chaosie rozmaitych sprzeczności wyznałeś się pan dokładnie?

— Najzupełniej!

— Ach! panie Holmes! Zechciej mi pan dać możność zoryentowania się —

— Z chęcią!... Ale obstalujmy sobie najpierw butelkę dobrego wina, bo to wzruszająca historya którą sobie na tem tle ułożyłem. Zobaczymy, czy mam takie same zdolności na dobrego poetę, jak na niezłego detektywa!...

ROZDZIAŁ V.

Zamek skalisty.

— Posłuchaj mój Harry, jak ja sobie to przedstawiam:

Przed kilkunastu laty żyła na Zamku Skalistym pewna hrabina, stara wdowa, która swego jedynaka wychowywała we wszystkich kastowych przesądach, ale zarazem z tą przesadną czułością, właściwą kobietom, które wcześnie męża stracą.

Gdy hrabina się postarzała, przyjęła do grona swej służby młodą wieśniaczkę, którą wkrótce awansowała ze zwyczajnej pokojówki na pannę do towarzystwa.

Zdawało się, że wybór jej nie mógł lepiej wypaść. Młoda Magdalena wniosła do zamku urok młodości i wesołość, była jak jasnym promieniem słońca rozświecającym te ponure, ciemne mury zamczyska. Dla dziewczyny był to bez wątpienia los, o jakim w najśmielszych swych marzeniach nie roiła. Czuła się w zamku niemal na równi ze swojem państwem. Hrabina obsypywała ją prezentami i łaskami, młody hrabicz z zachwytem ścigał swym wzrokiem postać prześlicznej dziewczyny. Tego ostatniego nie przewidziała stara arystokratka. Miłość wzrastała z coraz większą siłą w sercu nieśmiałego młodzieńca, a ładna dziewczyna nic nie miała przeciwko umizgom panicza, chociaż zupełnie kto inny był jej kochankiem. Magdalena zerwała z całem swojem dawnem otoczeniem, z wyjątkiem dwóch ludzi.

Pierwszym z nich był jej brat Jack którego kochała prawdziwie, drugim Piotr, którego była kochanką, co jednak wcale nie przeszkadzało jej chętnie przyjmować zaloty panicza. Ale Piotr powicher i ladaco bałamucił nie tylko jedną Magdalenę. Przeciwnie, zalecał się i do Eugenii. Rywalem jego był cichy i spokojny kowal Jack, brat Magdaleny.

Tymczasem rzeczy szły dalszą koleją.

Hrabia oświadczył się o rękę dawnej pokojówki.

Piękna Magdalena, która w innych warunkach czułaby się uniesioną w siódme niebo szczęśliwości — uczuła się nagle nad brzegiem przepaści.

Romans jej z Piotrem nie pozostał bez skutku.

Całe szczęście, że krytyczny dzień przyszedł przed dniem oznaczonym na dzień ślubu z młodym hrabią. Magdalena znalazła sposobność, by na kilkanaście dni wydalić się z zamku pod pozorem podróży do krewnych.

Dziecko swoje, owoc nieprawej miłości z Piotrem oddała bratu swemu z poleceniem umieszczenia go w domu podrzutków. Kochający i zaślepiony w swej siostrze brat, podjął się tej misyi. Zamaskowany i przebrany nie do poznania uzyskał od miejscowego proboszcza kartkę przyjęcia do domu podrzutków dla dziecięcia, które — niestety! — jak wiemy w drodze umarło, a Jack pogrzebał je w rzece przysypawszy kamieniami.

Smutnej tej wiadomości udzielił swej siostrze, doręczając jej jako ostatnią pamiątkę ów papier, poświadczenie Nr. 209, za którem biedne dzieciątko miało być umieszczone w domu podrzutków w Remiremont.

Biedna dziewczyna rozpaczała po stracie pierwszego ukochanego dziecięcia, a jedyną pamiątkę po nim — ów dowód przyjęcia Nr. 209 schowała

sobie nawieczną pamiątkę w ową kosztowną skrzynię, gdzie umieszczone były jej klejnoty i gdzie, nawiasowo mówiąc, za adamaszkowym obiciem znaleźliśmy go.

Magdalena cel swój osiągnęła — została hrabiną i o błędzie jej młodości mąż się nie dowiedział.

Ojciec nieżywego jej dziecka Piotr, namówiony został do wyjazdu i udał się do cudzoziemskiej Legii i zginął gdzieś w Afryce.

Jack, brat Magdaleny, przesiedlił się potem do Londynu, kochając bowiem ciągle Eugenię, pomimo tego, że wyszła za mąż za starego Béguerre, chciał chociaż być w pobliżu drogiej jego sercu kobiety.

Nie było zatem nikogo, ktoby wiedział o fałszywym kroku pani hrabiny, datującego się jeszcze z jej panieńskich lat — nie było żadnego świadka z wyjątkiem pewnej damy, nazwiskiem lady Norwich, u której pewnego razu — panną będąc jeszcze — zażywała dłuższej gościnny. Ale lady Norwich umie milczeć i nie zdradzi tragedyi życia swej przyjaciółki!

Szerlok Holmes podniósł się.

— Dalszy rozdział ciekawej tej powieści opowiem ci, gdy wrócimy ze Zamku Skalistego!

Na drugi dzień zbliżali się obydwaj detektywi do wspaniałego Zamku skalistego, na próżno łamiąc sobie głowę, w jaki sposób mogliby się do niego wkręcić, gdy pierwszy Harry spostrzegł dużą tablicę na bramie i zwrócił na nią uwagę swemu mistrzowi.

Na tablicy był napis:

„Ten grunt wraz z zamkiem jest do nabycia z wolnej ręki!“

Holmes skinął głową z uśmiechem i rzekł:

— Mamy wyborny pretekst!

Kazali się przez lokaja zameldować kasztelanowi. przedstawiwszy się naturalnie pod sfingowanymi nazwiskami. Harry Takson był obecnie księciem Ventecôte, Szerlok Holmes odgrywał zaś rolę zaufanego księcia, a zarazem pośrednika i przybrał sobie mieszczańskie nazwisko Mermont.

Piękny, starożytny zamek z historycznymi zbiorami i zbrojownią, wraz z przylegającym sporym kawałkiem ziemi, był stosunkowo za niewielką cenę 900.000 franków do nabycia.

Hrabstwa nie było na razie w domu, lecz jutro mieli już przybyć. — Pan zamku był śmiertelnie chory. W jednej z swoich podróży nabawił się na południu żółtej febry, która powoli, ale systematycznie odbierała mu siły, tak, iż rychły koniec jego z góry można było przewidzieć. Wszystkiemi sprawami zajmowała się pani hrabina i z nią właśnie nazajutrz mieli rozmówić się detektywi w sprawie rzekomego kupna dóbr.

Uprzejmy burgrabia ofiarował im gościnę w zamku na ten czas, dopóki hrabstwo nie wrócą. Wolny czas poświęcił Holmes na obejrzenie zamku. Zamek sam przez się stary i po staroświecku urządzony, posiadał jednak niektóre części zupełnie modnie i z rafinowanym luksusem urządzone. Nie brakło tam ani kosztownych dywanów na schodach, ani przepysznych obić i kryształowych luster na ścianach.

Na drugi dzień, tak, jak było zapowiedziane, zjechało się hrabstwo do zamku z częścią służby. Smutne to było przybycie. Hrabię wniesiono do jego apartamentów z powozu w lektyce, podobnej raczej do mar. Hrabina udała się do swoich salonów.

Do pokoju detektywów wszedł burgrabia i skłoniwszy się, wyrecytował:

— Pani hrabina będzie sobie miała za wielki zaszczyt, jeżeli panowie zachcecie zjawić się dzisiaj na objedzie w zamku.

Panowie przyjęli zaproszenie, ponieważ jednak było dość wcześnie, a obiad wyznaczony był na godziną 4-tą po południu — poszli przejść się trochę w najbliższe okolice.

Dzień był piękny i ciepły i przechadzka ta zrobiła na nich bardzo miłe wrażenie. Po drodze wstąpili do jakiejś gospody, której olbrzymi, krzywy szyld, tuż nad bramą umieszczony, zapowiadał „Prawdziwe niefałszowane wino mozelskie“.

Detektyw obstalował butelkę i razem z swym towarzyszem wszedł do sali restauracyjnej.

Ale któż może opisać zdumienie ich obydwóch?!

W rogu sali przy stoliku, rozparty wygodnie na kanapie, w przekrzywionej krawatce i porozpinanej do połowy kamizelce, spocony i czerwony jak upiór — siedział — — kto? Pan inspektor Snatterbox we własnej osobie! Trzy butelki wypróżnione i czwarta nadpoczęta, świadczyły aż nadto wymownie, że w dniu dzisiejszym miał pan inspektor wyjątkowe silne pragnienie i że wino francuskie smakowało mu niezgorzej od angielskiego porteru.

— Co pan tutaj robi? — zawołał zdziwiony Harry.

Lecz zanim zdołał Holmes zoryentować się krzyknął pan Snatterbox ochrypniętym głosem:

— Ach! co za spotkanie! O! mistrzu Holmes! Pójdź, niech ci prawicę uścisnę. O! Harry Takson! mój młody, głupi przyjacielu, pozwól się przycisnąć do serca.

W winiarni było wiele osób, ale nikt ostatecznie nie zwracał tak bardzo uwagi na jakieś zapite indywidyum, tem mniej na to, co mówił.

Detektywi przysiedli się do niego i mieli sposobność stwierdzić, że rzeczywiście pan inspektor był według wszelkich zasad i reguł – pijanym.

— Co pan tu porabia? — zapytał Holmes.

— Jaa — ak pan wi — dzi — odrzekł niepewnym głosem inspektor – wzmacniam siły do bardzo odpowiedzialnej i wytężającej pracy, która mnie tu czeka!

— Ale skąd się pan tu wziąłeś – badał Harry Takson dusząc się od śmiechu — i jaka robota cię tu czeka?

— O! panie Holmes! — zawołał pijany z emfazą — Snatterbox nie jest taki głupi, jak się zdaje!... Dowiadywałem się przez moich ludzi, dokąd się pan wybrałeś i powiedziałem sobie: kiedy Szerlok, to i ja!... Panie! Czy pan myślisz, że nie wiem o tem, jak pan wczoraj wybadywałeś ludzi we wsi?... Ja wszystko wiem, ja się nigdy nie mylę!...

Dobry humor Holmesa wzrastał w miarę wywnętrzań się inspektora, właśnie miał mu coś odpowiedzieć, czy zapytać o coś, gdy w szynkowni ukazał się nowy gość, który zwrócił na siebie powszechną uwagę.

Był on ubrany w powłóczysty czarny płaszcz, bladą twarz jego otaczał ciemny zarost, a koło oczu kładły się cienie, nadające fizyonomii jego nieskończenie smutny, ale zarazem i niemiły wyraz.

Nieznajomy usiadł opodal przy innym stoliku, niezadługo wszedł i pocztylion, którego podróżny poczęstował potężną szklanicą wina. Człowiek w czarnym płaszczu obstalował sobie obfite śniadanie, a potem zażądał pióra i atramentu i zaczął list pisać, nie troszcząc się wcale o obecnych. Wreszcie zakleił kopertę i zaadresował. W tej chwili podniósł się Holmes i przeszedł obok nieznajomego i wyszedł na podwórze.

Gdy wrócił, rzekł cicho do Taksona:

— No, mój chłopcze! czy nie widziałeś już kiedy tego człowieka?

— Nie, mistrzu!

— A czy nie zauważyłeś, że ma on właściwie blond brodę, tylko zręcznie uczernioną?! — List jest adresowany do hrabiny Magdaleny Castellone!

W tej chwili wstał nieznajomy, oddał list gospodarzowi do wrzucenia do puszki i zabierał się do wyjścia. Ale równocześnie wtoczył się w drzwi nowy gość i wchodząc, natknął się mimowoli na człowieka w czarnym płaszczu.

Przybyły został powitany głośnem „hurra“! obecnych.

Twarz jego była brunatna, prawie opalona i zeszpecona licznemi bliznami, mimo tego rysy były piękne i regularne.

— Hallo! Piotrze! Pójdź tu! tu siadaj! Pij! Mów!... — zabrzmiało z rozmaitych stron.

Piotrem nazwany, nie zauważył wcale człowieka, z którym w drzwiach się zderzył. Natomiast ten ostatni musiał go poznać, gdyż twarz jego zmieniła się nie do poznania w jednej chwili. Zatoczył się, oparł o ścianę, ale potem zaraz szybkim krokiem opuścił austeryę.

— Zgadza się, co do joty zgadza się wszystko! — zawołał Holmes półgłosem do siebie.

Tymczasem Piotr zasiadł przy innym stole ze swymi przyjaciółmi i przy szklance wina zaczął im szeroko i długo opowiadać o swoich przygodach w cudzoziemskim legionie.

Harry patrzał ze zdumieniem na tego żywego nieboszczyka. Wiadomą było przecież rzeczą, że Piotr zginął gdzieś w Afryce, gdy tymczasem ukazuje się tu jak widmo przeszłości. Nie ulega wątpliwości, że pogłoski o jego śmierci były fałszywe!...

Tymczasem p. inspektor Snatterbox, który dotychczas chrapał jak najęty, zbudził się nagle, przetarł oczy i wytrzeźwiony cokolwiek, utkwił mdłe swe spojrzenie w twarzy Piotra.

Nagle się podniósł i zawołał:

— To on!

Krzyknął tak głośno, że wszyscy zwrócili na niego uwagę. Holmes dał znak Taksonowi i obydwaj odsunęli się od niego.

— To on! — ryknął jeszcze raz inspektor. — Czy pan nazywasz się Piotr Béguerre?

Zapytany obrócił się, wzruszył ramionami i rzekł:

— Naturalnie! to ja jestem!

— Ta — a — ak? Czy byłeś pan w Londynie?

— W Londynie? nie!..

— Byłeś pan!... Jesteś pan podwójnym mordercą!... Trzymajcie go! — wrzasnął i z zręcznością dziwną u pijanego człowieka, rzucił się na Piotra.

Zaczęła się bijatyka, zakończona tem, że pana inspektora porządnie obito, a sprowadzony gminny policyant, zaprowadził go do kozy pod zarzutem wywołania awantur po pijanemu.

Detektywi powrócili zaś do zamku, gdyż nadchodziła pora objadowa.

ROZDZIAŁ VI.

W samotrzasku.

Hrabina oczekiwała swych gości w wielkiej mrocznej sali jadalnej. Całe otoczenie odpowiadało ponuremu kolorytowi nieba, które teraz pokryte chmurami nie przepuszczało żadnego jaśniejszego promienia przez wielkie zakratowane po średniowiecznemu okna.

Hrabina ubrana w czarnej sukni robiła wrażenie prześlicznego żywego posągu i zdawała się jak stworzona do tych ponurych ram.

Nic z jej zachowania ani fizyonomii nie przypominało pokojówki.

Zaledwie kilka razy udało się Holmesowi, który był człowiekiem nader towarzyskim i dowcipnym — wywołać na twarz hrabiny uśmiech przelotny.

Pod koniec objadu przyniósł lokaj na złotej tacy list. Hrabina rzuciła okiem na fagasa i rzekła krótko:

— Potem!

— Pani hrabino! — wtrącił Holmes — na liście jest adnotacya „bardzo pilne“.

Hrabina chwyciła nerwowo list w ręce, rozerwała kopertę, a przeczytawszy pismo, pobladła nagle i na pół zemdlona usunęła się na krzesło.

— Prędko, wody! — zawołał Holmes do służącego, pomimo tego, że karafka z wodą stała na stole.

Holmes zamaczał palce w wodzie i zaczął lekko nacierać hrabinie skronie.

Kobieta przyszła po chwili do siebie, rzuciła niepewnym wzrokiem dokoła, a potem zawołała z najwyższym przestrachem.

— Gdzie jest list, gdzie mój list?!

Harry widział dobrze, że mistrz przeczytał go pod stołem, ale w tej chwili schylił się, podniósł go z ziemi i podał hrabinie.

— Oto jest! — odrzekł z największym spokojem.

Hrabina skinęła główką, a chowając papier za stanik, rzekła:

— Do widzenia, moi panowie! — i wyszła.

* * *

— Prędko Harry! pójdź ze mną! — zawołał Holmes, gdy już byli sami w swej kwaterze — na każdy sposób wziąłem rewolwer ze sobą, chociaż, być może, że nie będzie nam potrzebny.

Obydwaj znaleźli się niezadługo w ustronnej części parku. Była to niewielka polanka, otoczona dokoła gęstą ścianą odwiecznych drzew.

Na środku znajdowała się mała statuetka jakiegoś świętego.

Holmes z Taksonem ukryli się w zaroślach i niedługo czekali, gdy zjawiła się smukła, piękna postać kobiety w żałobie.

Przybyła, rozglądnęła się trwożnie dookoła i w tej chwili wynurzył się z zarośli wysoki, chudy człowiek, odziany w długi czarny płaszcz.

Detektywi patrzyli z największą ciekawością na rozgrywającą się scenę pod figurą. Sami niewidziani, mogli najdokładniej obserwować i słyszeć wszystko.

Tajemniczą tą parą nie był nikt inny, jak hrabina Castellone i ów nieznajomy z gospody.

— Pozwoli pani hrabina — mówił nieznajomy, uchylając kapelusza — że przedstawię się jej jako autor listu, który pani dzisiaj przy objedzie odebrała. Pisałem już przedtem kilkakrotnie z Paryża i Londynu, niestety, pani hrabina nie uważałaś za właściwe zaszczycić mnie swoją odpowiedzią. Rozmówmy się zatem osobiście! Moje nazwisko jest markiz de Cavagnac. Wbiłem sobie w głowę, że muszę majątek, który w młodości mej przetrwoniłem — z powrotem odzyskać. Los był nielitościwym dotychczas dla mnie — teraz dopiero moje zabiegi, zdaje się, nagrodzi. Pani hrabina dopomożesz mi do odzyskania mej fortuny!... Pozwól mi pani kilka słów o sobie powiedzieć, bo to uwierzytelni moje — powiedziałbym — pretensye do pomocy, jakiej od niej żądam.

Po burzliwej i nie bardzo chlubnie spędzonej młodości — wstąpiłem do legii cudzoziemskiej, gdzie poznałem się i zaprzyjaźniłem z kolegą broni, niejakim Piotrem Béguerre... O! nie przerywaj mi pani, nic w tem nadzwyczajnego niema!...

Dziwniejsze jest atoli, że po wielu latach, spotkałem tu mojego towarzysza z pułku, którego ja i wszyscy mieliśmy już za umarłego!...

Piotr opowiedział mi jako przyjacielowi przejścia w swej młodości. — Wiem wszystko, pani hrabino!...

Ale hrabina odpowiedziała zimno:

— Jeśli tu przyszłam, to wiedz pan, panie markizie, że ciekawość mnie tu przywiodła, nie obawa skandalu, którym mi pan grozisz, proponując zarazem w liście, że milczenie jego mogę okupić milionem franków!

Możesz pan mówić przed całym światem, co pan wiesz tylko!

— A więc powiem, że byłaś kochanką Piotra Béguérre.

— To jest kłamstwo! — krzyknęła kobieta blednąc.

— Mam dowody!... Czy mam pani wymienić świadka? Czy pani Eugenia Béguerre nie jest wtajemniczoną w historyę upadku pani?

— Eugenia nie żyje. Czego mogłeś się pan od niej dowiedzieć?

— Wszystkiego, czego się może dowiedzieć kochanek od nieszczęśliwej kobiety — odparł cynicznie, — Czy mam rozgłosić, że tu w pobliżu znajduje się pogrzebane nieślubne dziecię pani?

— To jest nieprawda! — krzyknęła hrabina rozdzierającym głosem.

— Czem pani udowodnisz — ciągnął dalej łotr — że dziecko pani umarło naturalną śmiercią? Kto pani uwierzy? Dlaczego nie dałaś pani znać władzom o śmierci dziecka? Dlaczego pogrzebano je potajemnie? Eugenia wydobyła zeznania od Jacka, brata pani — Eugenia i mąż jej padli ofiarą zbrodni, ale żyję ja, a za zachowanie tej skandalicznej sprawy w tajemnicy żądam nie więcej jak milion franków!...

Pamiętaj, że oprócz skandalu czeka cię coś więcej, bo — kryminał!...

Hrabina na pół omdlała, opierała się przez cały czas o drzewo, by nie upaść. Teraz podniosła bladą swoją twarz i rzekła cichym głosem:

— Dobrze! Jestem gotowa zapłacić panu żądaną sumę!

— Tego pani nie uczynisz! — zabrzmiał potężny jakiś głos i w tej chwili wyskoczył z za krzaków Szerlok Holmes z Taksonem.

Hrabina była bliską omdlenia. W niespodziewanej odsieczy, poznała dwóch panów, którzy mieli traktować o kupno zamku.

Ale wprost piorunujące wrażenie, uczyniło zjawienie się detektywa, na łotrze.

— Szerlok Holmes! — krzyknął w największem przerażeniu.

— Tak jest! Jestem Holmes, bezwstydny łajdaku, który przybywam, by z podłych twych sieci wyrwać nieszczęśliwą ofiarę.

Ale zbrodniarz odzyskał już swą zimną krew.

— Cóż mi pan zrobisz? — zapytał bezczelnie — o co oskarżysz prócz chęci wymuszenia miliona na tej kobiecie?!

— Obwiniam cię o podwójne morderstwo, ty wyrodku piekła! — rzekł Holmes — Dowiedziałeś się, że przez panią Eugenię Béguerre ma otrzymać hrabina brylanty.

Dowiedziałeś się, gdzie stary Béguerre przechowuje swoje pieniądze i klejnoty hrabiny. Zamordowałeś ich oboje podstępnie, a gdy Jack, brat hrabiny, chciał pospieszyć jej z pomocą, wtrąciłeś go do piwnicy — umazawszy ręce i nogi jego krwią, przez ciebie przelaną, po to, by podejrzenie morderstwa na niego skierować. — Markizie de Cavagnac! jesteś moim więźniem.

Ale zanim Holmes mógł się spostrzedz, wyciągnął markiz błyskawicznym ruchem rewolwer z kieszeni, Harry uczynił to samo, w tej chwili kierując lufę w skroń zbrodniarza.

Ale strzał nie był dla detektywa przeznaczony. Kula z własnego rewolweru, przeszyła mózg markiza-zbrodniarza.

W ten sposób wymierzył on sobie sam sprawiedliwość, uchodząc przed wymiarem sprawiedliwości ustawy.

W kilka dni, za staraniem Holmesa, Jack niewinnie siedzący w więzieniu, został uwolniony. Piotr Béguerre, syn zamordowanego Jana Béguerre, podniósłszy znaczny spadek po ojcu, wyemigrował za morze, a Szerlok Holmes miał sposobność doręczyć hrabinie Castellone rewers Nr. 209 — dowód oddania nieprawego jej dziecięcia do domu podrzutków, a zarazem ostatniego dowodu błędu jej młodości.

W spokojnej, cichej wiosce francuskiej, skąd pochodziła hrabina Castellone, niegdyś wieśniaczka, obecnie arystokratka i właścicielka dóbr — w wiosce tej nic się nie zmieniło — wszystko szło dawnym trybem.

Wieśniacy z tąsamą nieufnością i nieżyczli-

wością odnosili się do właścicielki zamku, jak i dawniej.

Było to poniekąd usprawiedliwione i nie zrozumiałe dla tych, co znają psychologię chłopskiej duszy i logikę ich tępych łbów.

„Krajanie“ nie mogli darować hrabinie — czego? Czy tego, że była obecnie hrabiną, czy tego, że była niegdyś chłopką? Czy mieli jej za złe jej majątek, znacznie, urodę?... Wszystko potrosze! Chłop nie lubi dawnego chłopa, przebranego w surdut miejski i cylinder — ani wieśniaczki nie zachwyci z pewnością „przebranka“ w kapeluszu, gorsecie i jedwabnych pończochach.

Dodajmy do tego, że hrabina Castellone była istotnie dumną i nieprzystępną, dawnych swych ludzi nie lubiała i unikała ich. Wspomnienia które, łączyły ją z nimi, nie należały ani do miłych, ani do zaszczytnych.

Ogółem hrabina nie żyła z nikim prawie, po za szczupłem gronem najbliższych znajomych, nikt nie bywał w zamku. Bo wcale też nie było interesującem obcowanie z ludźmi odciętymi od świata i kryjącymi się za chiński mur przesądów i uprzedzeń.

Ona — piękna i młoda była bez kwestyi łakomym kąskiem dla okolicznych smakoszów — donżuanów.

Atoli postępowaniem swojem tak zraziła i zniechęciła młodzież do siebie, że literalnie przepędziła wszystkich, jak to mówią za dziesiątą górę.

On — młody jeszcze, ale schorowany, wyniszczony wycieńczony nadużyciami, popełnianemi w młodości, zwłaszcza, gdy jeszcze na dobitkę wczesnej swej starości — wziął sobie młodziutką żonę.

Wiadomo nam, wśród jakich okoliczności poznał i pokochał młody hrabicz przyszłą swą małżonkę, która była z razu tylko pokojówką u jego matki, noszącą proste perkaliki, białe fartuszki, a — pończochy od święta.

Hrabia Castellone łobuz i kobieciarz, umiał ocenić wdzięki swej pokojówki.

Sprytna dziewczyna umiała znów tak usidłać, tak omotać hrabiego, że poprostu nie wyobrażał on sobie życia inaczej, jak z ową wiejską rusałką, z zakasanemi rękawami i w sabotach na bosych nóżkach.

Była ona zarówno sprytną jak i ładną.

Wplótłszy się w zycie młodzieńca, umiała go, jak to mówią, po jedwabnej nitce zaprowadzić prosto przed ołtarz.

Teraz zmieniła się sytuacya kompletnie.

Perkaliki i saboty poszły zupełnie w zapomnienie i z dawnej przeszłości nic, nic zgoła nie pozostało — krom plamy na jej honorze kobiety.

Bądź co bądź była to upadła kobieta.

Czy należało ją potępić lub nie, nie zastanawiajmy się nad tem, ogółem zostaje kwestya otwarta, czy kobietę, która miłością zbłądziła, można regestrować jako upadłą.

Hrabina czuła jednak dobrze, że nie dodała ona blasku herbowej tarczy swego małżonka.

W jego oczach czytała niemy wyrzut za zmarnowane życie i stargane zdrowie. Jednem słowem jednak nie zdradził tego, co cierpiał.

Był to człowiek głupi, ale bardzo dobry i żonę swoją kochał na swój sposób.

Ludzie ci skuci przeznaczeniem, przeżyli z sobą długie lata, tymczasem jednak zdrowie młodego hrabiego pogarszało się z dnia na dzień, nikł i marniał w oczach, aż przyszła przewidywana dawno katastrofa.

Hrabia umarł, pozostawiając swej żonie majątek, imię i swobodę.

Jednem słowem podreperował znakomicie „niepocieszoną“ wdowę, która w niedługi czas osuszyła łzy i zrzuciwszy żałobę, powtórnie wyszła za mąż.

Szerlok Holmes zasłużył sobie na wdzięczność całego szeregu ludzi, że wykrył ich niewinność, powrócił im spokój i szczęście.

KONIEC.

Najbliższy [Nr. 23] naszego Tygodnika zawiera między innemi senzacyjną powieść z przygód **Szerloka Holmesa** p. t.

Pamiętnik umarłej.

Uwagi i przestrogi pana Majtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Cesarsko Królewscy Słudzy Sprawiedliwości!

Jest waryatów dosyć na świecie, bo to już rzecz wiadoma. że każdy ma we łbie przecież jakiegoś zajączka, którego troskliwie hoduje i broń Boże! nie pozwoli mu uciec. Nic to nikogo zresztą nie obchodzi, bo wolno każdemu w Polsce, jak kto chce, byleby nie szkodził tem nikomu i nie wykroczył przeciwko c. k. królewskim przepisom ustawy karnej, administracyjnej. policyjnej, patentowi o noszeniu broni, prowadzeniu psy na smyczy, pluciu na ulicy, oddechaniu, ustawie o pijaństwie, zarazie bydlęcej i zgromadzeniach publicznych, krótko, aby nie przelazł żadnego z owych pięknie obmyślanych parkanów moralnych, któremi kochana Policya i świetny Kryminał pootaczał społeczeństwo dla własnego jego dobra, na chwałę Bogu i pożytek naszej wielkiej c. k. Ojczyzny!

Więc, jak powiedziałem, waryatów mamy dosyć, a i ja miałem także raz ten wielki zaszczyt, przyjść z nimi w bliższe zetknięcie, o czem Szan. Kolegom w dzisiejszej pogadance chcę szeroko i długo w krótkości opowiedzieć.

Między takimi panami, co to chętnie pożyczają, ale niechętnie płacą, miałem ja pewnego młodego lekarza, który praktykował, z przeproszeniem, u waryatów.

Był to jeden z tych panów, którzy mają na czole wypisane: „Goły jestem, co mi zrobisz?!“ W domu go nigdy zastać nie można, w knajpie go tyrpać nie wypada. Miał jednak swoje godziny ordynacyjne w szpitalu waryatów.

Z tego też skorzystałem i udałem się do niego tak sobie prywatnie, nie w urzędowym charakterze ani mundurze — i udało mi się akurat zastać mojego doktora.

Wchodzę, kłaniam się —

— Co to będzie ze mną panie doktorze?

Ale pan doktór nie był usposobiony.

— Ja nie wiem co ze mną będzie, a pan mnie pytasz, co będzie z panem! — odburknął nieuprzejmie.

Niezrażony tem ciągnę dalej:

— Ja wiem, że pan doktor poświęca się specyalnie waryacyi, ale mimo tego, proszę bardzo, nie rób pan ze mnie waryata i zapłać pan temu krawcowi, bo i jego cierpliwość urwie się, jak z przeproszeniem guzik źle przyszyty.

— Mój panie Majtyka! — rzecze na to mój doktór — krawca zapłacę, jak będę miał, nie chcę jednak, żebyś pan się nadarmo do mnie fatygował. Pieniędzy wprawdzie niemam i prawdopodobnie nie przyjąłbyś ich pan odemnie, ale za to chcę ci inne ukontentowanie zrobić.

— Słucham pana doktora — rzekłem z nadzwyczajną ciekawością.

— Wiesz panie Majtyka, co? Pokażę panu moich waryatów!

Wstałem i oglądnąłem się za czapką.

— Nie! dziękuję panie doktorze, nie jestem wcale ciekaw!

— Są między nimi niektóre przepyszne okazy.

— Niech sobie będą najpyszniejsze, nic mnie waryaci całego świata nie obchodzą.

— Albo wiesz pan co? — mówił dalej uparty doktor — chcę panu koniecznie zrobić jakąś przyjemność. Dam panu kartkę, żeby pana wpuścili do ogrodu, tam teraz wszyscy waryaci spacerują.

— Dziękuję panu za kartkę i za przyjemność — odpowiedziałem energicznym tonem. skłoniłem się i wyszedłem co tchu.

Znalazłem się na podwórzu. Nieprzyjemnie mnie tylko uderzyło, że podwórze było otoczone parkanem.

Zauważyłem również, że kilkanaście jakichś indywiduów, ubranych bardzo negliżownie, oddawało się częściowo gimnastyce, jak wywracanie kozłów i skakanie, częścią próbowali się ze sobą na ramiona wydając dziwne okrzyki.

W tej chwili się połapałem... Boże! ja wlazłem między waryatów.

Nie zwlekając i widząc, że się pomyliłem, chciałem wyjść z podwórza. – Zgroza! drzwi, któremi wszedłem, zamknięte.

Tymczasem poszedł do mnie jakiś stary jegomość, ubrany podobnie jak wszyscy w długi płócienny hałat i rzekł do mnie z uprzejmością, którejbym się po tym człowieku nigdy nie był spodziewał:

— Pan zapewne chcesz się widzieć z królem Alfonsem?

Nie chcąc drażnić waryata, odpowiedziałem z zachwytem.

— O! tak! życzeniem mojem jest poznać dobrego tego króla!

— Ja nim jestem! — odparł najnaturalniejszym głosem — Masz tu moją rękę, ucałuj ją, nie odmawiam tego szczęścia żadnemu z moich poddanych!

I przy tych słowach podał mi swoją potężną brudną łapę, którą oczywiście z całą czcią ucałowałem.

Króla Alfonsa rozczuliło to do tego stopnia, że ścisnął mnie za głowę i rzekł łaskawie:

— Czy masz jakie życzenie mój synu?!

— Mam — odpowiedziałem żywo i zdawało mi się, że zaświecił mi słaby promyk nadziei. — Chciałbym wyjść i przebrać się odpowiednio do dworskiej etykiety. Czy Wasza Królewska Mość nie mogłaby mi tych drzwi otworzyć?

— To będzie trudno! — odparł król tragicznym głosem — radzę ci nawet nie zbliżać się do tych drzwi, których pilnują po drugiej stronie anarchiści z Barcelony! A może i ty jesteś anarchistą i chcesz dłoń świętokradzką ściągnąć na swego króla?

Zanim miałem czas wykazać hiszpańskiemu królowi moją prawomyślność i lojalny sposób myślenia, zbliżyło się do nas inne indywidyum i potrząsając moją dłonią, zawołało:

— Ach! dawno już nie widziałem pana! Skąd pan przybywasz? Nie rozmawiaj z tym durniem, któremu się zdaje, że jest królem! Jak się panu panu podoba u nas na Rivierze? Wiesz pan co? Może zatańczymy?!...

I nie czekając mojej zgody, porwał mnie w pół i zaczął wykręcać się po podwórzu, co widząc reszta waryatów, puściła się również w tany, nie wyłączając króla Alfonsa, który zapomniał zupełnie o anarchistach i solo podrygiwał, przyśpiewując sobie z fantazyą: „hopsa! hopsa"!...

Myślałem, że wyzionę ducha w tym prawdziwie waryackim tańcu. Byłem przekonany, że doktór mszcząc się, powypuszczał wszystkich waryatów na mnie i w duszy gotowałem się już na śmierć męczeńską...

Nagle ucichło wszystko — waryat mnie puścił a ja zmordowany, nie mogąc tchu w piersiach złapać, upadłem na ziemię.

Na podwórzu zjawili się dozorcy i na ich widok zaraz uspokoili się waryaci.

Cóż się stało?

Ja — osioł — pomyliłem się w drzwiach i zamiast do ogrodu, skąd jest wyjście na ulicę, wszedłem do letniego przedziału waryatów. Drzwi nie były na klucz zamknięte, gdyż dozorca wyszedł gdzieś na chwilkę, a wróciwszy, zamknął je dopiero na rygiel.

Dopiero wrzaski waryatów sprowadziły ich stróżów, którzy byli dla mnie w tym wypadku prawdziwymi aniołami-stróżami!

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Prototypem niestrudzonego, pełnego poświęcenia szermierza porządku i ładu społecznego, był i będzie po wszystkie wieki

SZERLOK HOLMES

najgenialniejszy detektyw i kryminalista, jakiego kiedykolwiek ziemia wydała. Wolny i niepodległy, surowy dla siebie i innych, współczujący z nieszczęśliwymi i szlachetny — nie oddał on genialnego talentu swego w przedajne usługi żadnego rządu, żadnej uprzywilejowanej warstwy społecznej lub koteryi politycznej, lecz całem swojem duchowem i fizycznem jestestwem służył wielkiej Ojczyźnie człowieka — Ludzkości.

Nigdy jeszcze nie było detektywa, któryby w równej mierze łączył **rozum, siłę, przenikliwość, gruntowną wiedzę, odwagę i przytomność umysłu** i wszystkie te rzadkie dary tak szlachetnie i bezinteresownie oddawał na usługi społeczeństwa.

Przygody Szerloka Holmesa w Londynie, Paryżu, Wiedniu, Pradze, Petersburgu, Madrycie, Nowym-Yorku, Chicago, San Francisko, Kairze, Indyach, Australii, **jego niepospolita przenikliwość, ruchliwość jego umysłu, jego sprytne kombinacye,** które się opierają na głębokiej znajomości człowieka, a często i na podstawie naukowej, i prowadzą go zawsze do pożądanego celu, **jego żelazna energia,** zwalczająca przeszkody — to stanowi treść senzacyjnych, wysoce interesujących, przykuwających uwagę opowiadań

O SZERLOKU HOLMESIE

Prócz niezwykłych przygód interesującego tego człowieka — podajemy ponadto w każdym numerze naszego „Tygodnika" — przegląd bieżących a ciekawych wypadków kryminalistycznych, jak niemniej obfitą wiązankę humorystycznych zdarzeń, epizodów i intermezzów z sali sądowej i ogółem z zakresu kryminalistyki.

Każdy numer zawiera prócz tego nieocenione humorystyczne

Uwagi i przestrogi Pana Majtyki

c. k. emerytowanego Woźnego sądowego, który ze skarbnicy swoich doświadczeń życiowych i biurowych sypie prawdziwe klejnoty, mieniące się jak rakiety tysiącem barw w promieniach jego dowcipu i pogodnej ironii.

Niniejszem podajemy spis najnowszych Numerów, traktujących między innymi artykułami także i o przygodach tego genialnego Króla detektywów.

Wyznawcy dyabła.
Pierścień Maryi.
Fałszywy generalissimus.
Dusiciel z Pragi.
Zbrodnicza droguerya.
Katastrofa budowlana.
Mężczyzna pokojówką.
Trzynaście kul.
Rabuś dziewcząt.
Tajemnica pergaminu.
Miłosny szał króla złodziei.
Zagadkowy oblubieniec.
Tajemniczy szofer.
Podróż na północ.
Joly, pies policyjny.
Yoril, bandyta uliczny.

Co sobotę regularnie ukazuje się numer naszego Tygodnika, opatrzony piękną, kolorową illustracyą.

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 15 kop. = 25 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, ajencyach dzienników i trafikach, oraz wprost w Administracyi.

Adres Redakcyi i Administracyi Tygodnika Szerlok Holmes: Kraków, Zielona 7.

Skład główny na Królestwo polskie: Księgarnia Komisowa w Warszawie, ulica Waliców 5.

Wydawca: Aleksander Ripper — Odpowiedzialny redaktor: **Tomasz Wróbel.**

Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie.